



ROK LVIII

NR 26

KOBIECI WYDANIE MIESIĄCOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC

WARSZAWA, 27 CZERWCA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Kobieta w więzieniu—*H. Ceysingerówna*. Terror nonsensu—*K. S. Dworek* rodzinny—*C. Walewska*. Działaczki okresu konspiracyjnego—*Helena Ceysingerówna*. Jaskółki—*Mario Tinti*. Świat Kobiocy (część II) c. d.—*Marja GrossekKorycka*. Idylla na Arktyku (c. d.)—*Juljusz Wirski*. Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—*Wanda Młaszewska*. Księżna Anna Jabłonowska, wojewodzina braclawska (dok.)—*Dr. W. L. Piękna Pamela* c. d.—*K. Bielańska*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Obrazki z życia—*al. Z Teatrów*. Książki i czasopisma nadesłane. Dział praktyczny: Mody i roboty. Roboty ręczne dla małych dzieci na wsi.—*W.* Roboty ludowe—*Teodora Gulgowska*. Z teki mojej babki—*J. S.* Sezon robienia zapasów się rozpoczyna—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Dodatek powieściowy „Okręty, które płyną wśród nocy (c. d.)—*Beatrix Harraden*. ARKUSZ WZORÓW.

KOBIETA W WIĘZIENIU



Temat niewymownie smutny! a przecież stanowiący niestety bardzo konkretną część naszej współczesnej rzeczywistości.

Idealiści wyobrażali sobie Polskę przyszłą, Polskę zmartwychwstałą, jako kraj bez więzień, bez policji, bez nierzędu i t. d. i t. d.

Niestety niema rajów na ziemi. Ale pomyśleć należy jak zmierzać do tego, by smutne te rzeczy przeinaczyć, złagodzić, zmniejszyć.

Więzień wogóle, to zaprawdę najbardziej godna pożałowania istota! I nie darmo katechizm nakazuje „więźniów pocieszać“. Na nieszczęście jego składa się i wewnętrzna, często do głębi przeżarta truciznąmi treść jego jaźni i ta kara, zawierająca w sobie wszystkie elementy poniżenia, przygnębienia, tęsknoty i braku tego, co człowiekowi każdemu najdroższe—braku swobody!

Nieszczęście jest znacznie dotkliwsze, gdy mu podlega kobieta, istota wrażliwsza, a słabsza fizycznie od mężczyzny.

Rozumiemy to wszyscy i bolejemy nad tem, a przecież nikt nie znalazł dotąd sposobu na rozwiązanie zagadnienia, co robić z przestępcą, jak bronić się od złych skutków jego anormalności psychicznych, nie wytwarzając jednocześnie takiej olbrzymiej ilości cierpienia, nędzy, rozpacz, bólu i buntu. Dlatego właśnie nad problemem tym głęboko zastanawiać się należy.

Chcę mówić tym razem tylko o więźniu — kobiecie, i to mówić nie teoretycznie, a na podstawie tego, co dziś u nas widzieć można.

Mamy w Warszawie specjalne więzienie kobiece, więzienie, urządzone wzorowo w stosunku do tego, czego się dziś od więzienia wymaga. Idealna

czystość, froterowane podłogi, prawie we wszystkich celach zniesione „kosze“, centralne ogrzewanie, wpływające na wysuszenie starych, wilgotnych murów więziennych. Oto ulepszenia zewnętrzne, które już za rządów polskich w więzieniu tem zaprowadzono. Ale są i inne rzeczy, godne zaznaczenia. W więzieniu wre praca: warsztaty pończosnicze, guzkarstwo, pralnia, haft, mereżkowanie... Wyroby więzienne sprzedaje się i pewien procent dochodu zapisuje się na konto pracownicy, która wychodząc z więzienia, otrzymuje do ręki tę trochę grosza. Pranie przyjmuje się z miasta, przyjmuje się także obstalunki na bieliznę, haft i t. d. Poza tem jest szkoła, czynna od 8 rano do 8-mej wieczorem, gdzie na zmianę prowadzi się naukę czytania, pisania, początków arytmetyki i t. d. W szkole zajęte są stale 2 nauczycielki.

Wszystkie analfabetki obowiązkowo uczęszczać muszą na lekcje.

Uczą się naogół chętnie i dumne są z nabytych wiadomości.

Jak słyhać, istnieje dążenie do wytworzenia w więzieniu atmosfery możliwie pogodnej. W tym celu zniesiono czarne, smołowcowe malowania na ścianach, nadające taki ponury wygląd celom. Są one teraz wszystkie pomalowane na jasno, a przeprowadzany obecnie remont nada im jeszcze bardziej czysty i względnie estetyczny wygląd. Ambulatorjum, szpital, prysznic, łazienki, sala porodowa wszystko w tem więzieniu znajduje się we wzorowym porządku.

Kobieta każda raz na tydzień otrzymuje kąpiel pod prysznicem; położnice, chore, polityczne kąpią się w czystych białych wannach.

Spacer odbywają podobno codzień — wszystkie, naturalnie spacer po ogródku więziennym. Poli-

tyczne (jest ich 10) korzystają z 2 godzinnego spaceru codziennie.

W więzieniu tem przebywa obecnie 200 kobiet. Zwykle bywa więcej; na czas remontu usunięto jednak pewną część stałych lokatorek tych murów. Cały personel dozorczy, za wyjątkiem strażnika u bramy, stanowią kobiety, zachowujące w stosunku do swej władzy zwierzchniej formy ściśle wojskowe. Formy te obowiązują także uwięzione.

Na czele stoi inspektorka p. Zdanowska, osoba pełna energii i, jak słychać, pojmująca głębiej swoje zadanie. Przed paru laty urząd naczelniczki więzienia pełniła także kobieta, p. Lipińska; obecnie jednak ze względów oszczędnościowych władza zwierzchnia nad obu więzieniami, męskim przy ul. Pawiej i kobiecym przy ul. Dzielnej — oddana została jednemu naczelnikowi — mężczyźnie.

Rygor w więzieniu kobiecym panuje, zdaje się znacznie ściślejszy, niż za czasów rosyjskich — rzecz z punktu widzenia władzy chwalebna, ale z punktu widzenia więźnia...

Na Dzielnej segreguje się uwięzione. Osobno mieszkają te, które zostały ukarane po raz pierwszy. Jest to zarządzenie słuszne, chroniące nowicjuszek od zetknięcia z zawodowcami, wytrawnymi i niepoprawnymi przestępczyniami. Osobno umieszcza się prostytutki i t. d. Matki z dziećmi zajmują też dwie osobne cele.

Nawiasem dodać trzeba, że za czasów rosyjskich matkom z dziećmi, w lecie, przez cały dzień wolno było przesiadywać w ogrodzie. Dziś tak nie jest.

A teraz jedna jeszcze, bardzo ciekawa informacja: poza politycznymi niema w więzieniu inteligentek. Żywiol najinteligentniejszy stanowią akuszerki, skazane na więzienie za niedozwolone zabiegi operacyjne.

Co do obejścia z uwięzionymi kobietami jest ono podobno łagodne i sprawiedliwe. Wszelkie kary cielesne zostały zniesione, nawet w stosunku do skazanych na ciężkie więzienie (co odpowiada rosyjskiej „katordze“). Jako kary dla nieposłusznych stosuje się usunięcie na jakiś czas od pracy, zakaz przynoszenia posyłek z miasta (t. zw. wałówki), zakaz widzeń i karcer.

Wszystko w porządku — prawda?

A jednak więzienie to jest rodzajem grobu za życia...

Ale nie traktujmy sprawy z uczuciowego punktu widzenia.

Ujmujmy ją od strony pożytku społecznego.

Czy więzienie to poprawia winowajczynię?

Czy opuszczając te mury, zdecydowane będą rozpocząć nowe życie, w zgodzie z prawem Bożem i kodeksem?..

Czasem, niektóre, bardzo rzadko...

A czy mogą postanowienie takie urzeczywistnić?.. Prawie nigdy!

I w tem leży całe zło systemu.

Gdyby więzienie to wyrzucić poza miasto! Gdyby je umieścić wśród ogrodów i pól. Gdyby tym zdeprawowanym przez miasto duszom dać świeży, zdrowy oddech szerokich przestrzeni! Gdyby je zaprząć, nie do siedzącej pracy przy warsztacie, do pracy, co pozwala biegać myślom po wszystkich obszarach brudnych wspomnień i snuć plany występku na przyszłość, ale do ciężkiej pracy fizycznej na roli i w ogrodach, do takiej pracy, co wypaca z mięśni wszystkie jady i odnawia komórki ciała, czyniąc je sposobniejszym do przejścia się nowym prądem duchowego życia, rezultaty byłyby zgoła inne, niż dzisiaj.

Powiecie, że to mrzonka! Nie! Nie wolno tak mówić, dopóki się nie wykonało eksperymentu.

A przytem kraj nasz ongi, przed pozbawieniem go politycznego bytu, wyróżniał się wśród innych małym procentem przestępczości.

Zaborcy dopiero wyhodowali u nas przestępczość, tak jak z całą perfidją i planowością hodowali nierząd, alkoholizm i ciemnotę. A wszystkie te czynniki złowrogie zostają ze sobą w bezpośrednim związku. Bo proszę zważyć. W więzieniu na Dzielnej niema inteligentek! Czasem jakaś urzędniczka, oskarżona o nadużycie, jakaś buchalterka, nieprawidłowo prowadząca książki... Po prostu — wyjątki.

Śród mężczyzn jest inaczej. Na tak zwanym „Pawiaku“ jest znaczny procent więźniów tej kategorii.

Ale kobiety?

Dajcie im oświatę, dajcie im wykształcenie zawodowe, a nie będziecie potrzebowali budować i utrzymywać więzień! Oto wskazówki, które z tego stanu rzeczy, już dziś, bezspornie wyciągnąć można.

I to są sprawy zasadnicze.

A teraz przejdźmy do szczegółów. Dopóki przeprowadzona nie zostanie wielka reforma, chwycić się musimy przynajmniej w stosunku do kobiet więzionych, następujących półśrodków.

Przedewszystkiem stworzyć Dom zarobkowy dla wychodzących z więzień po odbyciu kary.

Nielatwo jest dostać pracę człowiekowi, za którym dopiero co zamknęła się brama więzienna. Pierwszym odruchem każdego przeciętnego obywatela jest odmówić pracy „złodziejowi“. „Złodziejka“ ma oczywiście trudności jeszcze większe. I choćby miała najgorętsze postanowienie poprawy, musi, po prostu musi, albo iść na ulicę, albo chwycić się znów złodziejskiego procederu, który ją prędzej czy później, zawiedzie znów do więzienia.

Nosi się z zamiarem zbudowania Domu zarobkowego, oczywiście zarówno dla mężczyzn jak dla kobiet, „Patronat“. Pomimo jednak, że jest dziś instytucją ogólnie państwową, nie posiada dostatecznych funduszy, nie posiada placu. Państwo, Miasto powinno mu go dać. Postulat Domu zarobkowego dla byłych więźniów winien stać się ogólnym żądaniem społeczeństwa, jeżeli społeczeństwo to nie chce hodować sobie recydywistów, tak jak hodowały nam ich rządy zaborcze.

Drugim postulatem jest sprawa dzieci. Zaledwo ujrzała świat, niewinna dziecina poddana jest karze, jednej z najcięższych — karze więzienia. Popelniamy krzywdę bezprawie na istocie bezbronnej i bez grzechu.

Te kolebeczki w celi więziennej! Ten brak słońca, powietrza! Ta karmicielka zgnębiona, albo pełna niepokoju i troski! Za co? naprawdę, za co?

Trzeba w więzieniu kobiecym urządzić Żłobek, odpowiadający wszystkim wymaganiom higieny, albo odroczyć karę matkom, usunąć z pod śledztwa brzemiennie i karmiące!

Obecnie jest na Dzielnej 13 niemowląt. Zazwyczaj bywa ich do 20-stu. Liczba poważna!

Trzeci wreszcie postulat, który winny wysunąć organizacje kobiece, a przeprowadzić posłanki nasze w Sejmie to: Naczelniczką kobiecego więzienia powinna być kobieta. Należy ją wybrać z pośród ideowych działaczek, z pośród osób, nie kierujących się wyłącznie sentymentem, ale rozumiejących całą doniosłość społeczną roli, którą jej spełniać przyjdzie. Najlepiej nadawałaby się na to stanowisko któraś z ukończonych prawniczek naszych.

Należy nawrócić do stanu rzeczy, który już był i który wydał bardzo dodatnie wyniki. *H. Caysingerówna.*

TERROR NONSENSU

Sprawa strojów nie jest tylko zagadnieniem natury estetycznej. Wkracza ona, jak to widzimy dosadnie w ostatnich czasach, w dziedzinę moralności i wychowania publicznego.

Władze szkolne uznały za konieczne wprowadzenie mundurków dla uczącej się młodzieży. Niektóre biura i urzędy wydały zarządzenia, dotyczące się stroju w czasie urzędowania. A także cały szereg mniej lub więcej powołanych „moralistów” zabrał głos w tej kwestii.

Nie można tedy zaprzeczyć, że rzecz jest doniosła, że stała się zagadnieniem, sięgającym głęboko w samo sedno życia obyczajowego.

W Nr. 21 „Bluszczu” z dn. 23 maja b. r. pojawił się art. „Lekarzu, lecz się sam”. Artykuł świetny — nietylko pod względem formy, ale oparty o doskonałą znajomość życia, stosunków i psychiki ludzkiej. Autorka w szlachetnym i zupełnie zrozumiałym oburzeniu odmawia mężczyznom prawa występowania w roli sędziów, gdy chodzi o krytykowanie obecnej mody kobiecej. Trzy główne argumenty, które wysuwa, są naprawdę druzgocące.

Przedewszystkiem pyta się, jakim prawem i na jakiej podstawie rozmaici „moralizatorzy” czynią odpowiedzialnymi wszystkie kobiety polskie za to, co robi pewna, tylko znikoma warstwa kobiet współczesnych. Ani ogromne rzesze, w pocie czoła pracujących wieśniaczki i robotnic fabrycznych, ani szerokie zastępy, ciężkiej pracy zawodowej oddanych inteligentek — jedynie uprawnione do reprezentowania ogółu kobiet polskich — nie mogą i nie chcą solidaryzować się z małą garstką lekkomyślnych i próżnych kobietek „dernier cri”.

W drugim argumentcie wykazuje niekonsekwencję i obłudę mężczyzn, którzy przecież do istnienia i podtrzymywania takiego właśnie typu kobiecego pośrednio i bezpośrednio najwięcej się przyczyniają.

A wreszcie motyw najważniejszy, zawarty w wymownym wykrzykniku: „Lekarzu, lecz się sam!” Jakże sądzić może ktoś, kto sam jest tak bardzo winny — co gorsza — w tym wypadku współwinny?!

Przykłady winy, które przytacza, są zaledwie drobnym ułamkiem poważnego materiału statystycznego.

Można je mnożyć, czerpiąc obficie z kronik jawnych i utajonych wszystkich miast i miasteczek.

Czytając wspomniany artykuł, cieszyłam się, że w sposób mądry i silny odparto oszczerstwo, rzucone pod adresem współczesnej kobiety polskiej.

Ale rozmyślając nad tą sprawą, uświadomiłam sobie równocześnie i drugą stronę tego zagadnienia. Uświadomiłam sobie, że samo odparcie zarzutów nie wystarczy, że trzeba coś zrobić, trzeba działać. Nie ulega bowiem wątpliwości, że ten odłam strojnych dam, choć mały, źle oddziałuje na całość kształt życia towarzyskiego i społecznego.

Współczesny mężczyzna, sam brnący w życiu niezbyt moralnym, nie ma prawa moralizować — zwłaszcza, gdy chodzi o ogół kobiet, ale za to z drugiej strony współczesna kobieta, potępiająca ten stan rzeczy, ma obowiązek wystąpić ze zdecydowaną akcją w tym kierunku.

Nie wolno nam bowiem stać na tem stanowisku, że wystarczy odseparować się od tego zastępu kobiet bezmyślnych i pustych, aby wszystko już było w porządku. Nie wolno nam tego czynić z wielu względów, a także choćby i dlatego, że czyny tamtych i skutki tych czynów wbrew naszej woli zaciążyć muszą na całym życiu społecznym, a więc i na naszym życiu.

Rozumie się, że żadna z nas nie utłeni włosów, nie będzie nosiła sukni po kolana, nie umaluje ust i twarzy, nie obnaży ciała w sposób prowokujący. Ale nie możemy nie widzieć tego, że szalejące orgje mody w ten, czy w inny sposób oddziałują zgubnie i na nasze życie.

Nie będę mówiła o tem, że dużo z tych pań, to są przecież często gęsto nasze krewne, spowinowaczone, znajome i że obniżając poziom przyzwoitości towarzyskiej, obniżają poziom moralny wogóle.

O tę atmosferę zgnilizny — czy chcemy, czy nie chcemy, ocierać się musimy i odczuwać skutki jej w rozmaitej formie na każdym kroku.

Ale oddziaływaniu tych stosunków podlegamy także w sposób bardziej

bezpośredni. Mam tu na myśli ów specyficzny terror towarzyski, który sprawia, że na kobiety niemodne ubrane patrzą z uśmiechem, politowaniem, a w każdym razie z dużym lekceważeniem.

I choć nie poddajemy się bezwstydному obnażaniu się z góry i z dołu, lub bezsensownemu noszeniu zimowych kapeluszy w lecie, a letnich w zimie — to trzeba jednak mieć wielką odwagę, aby nosić wprawdzie ładną jeszcze, ale niemodną suknię z przed dwóch lat, lub narazić się na śmieszność noszenia sukni długiej, gdy modna jest krótka i naodwrot.

A że diametralnie różne formy mody zmieniają się teraz (w interesie fabryk i kupców!) co kilka miesięcy — łatwo zrozumieć, jakie to za sobą pociąga skutki. Wiemy to zresztą bardzo dobrze z doświadczenia.

Czas położyć koniec tym bezmyślnym i nieprzyzwoitym orgjom, tej nonsensownej maskaradzie, która zmienia się z dnia na dzień i coraz bardziej dziwaczeje. Ublża to naszej godności — utrudnia życie na każdym kroku.

Niekażda kobieta ma odwagę w pojedynkę wyłamać się z pod narzuconych jej form i walczyć z otaczającą ją bezmyślnością.

Trzeba się zreszta tworzyć kluby zwolnyców wiecie, pisać artykuły — trzeba gromadnie przystąpić do walki z śmiesznym terrorem mody.

Na nas właśnie, na „inteligentkach pracujących zawodowo”, ciąży ten obowiązek w pierwszym rzędzie.

My jesteśmy powołane do czuwania nad czcią i honorem współczesnej kobiety polskiej i my będziemy odpowiedzialne za atmosferę, w której wychowuje się młode pokolenie.

Bo jeśli widok współczesnej kobiety „modnej” jest zjawiskiem wysoce niesmacznym i śmiesznym, to widok modnie „wystrojonej” młodzieży, a zwłaszcza dzieci sprawia wrażenie już wprost bolesne.

Musimy wytłumaczyć niektórym matkom, że największym wdziękiem wieku dziecięcego jest prostota i skromność, że nadawanie małym dziewczynkom wyglądu, strojnych w pstre jedwabie, „damulek”, a chłopczykowi dziwacznych „pajaców” — jest nietylko śmieszne, ale wprost karygodne.

Terrorowi nonsensu i bezwstydności — musimy przeciwstawić mocny terror rozsądku i przyzwoitości.

K. S.



DWOREK RODZINNY

Panu Kazimierzowi Walewskiemu z Tubądzina — poświęcam.



dworek rodzinny—to już prawie symbol.

Wszystko, co jest jeszcze ukochaniem wsi polskiej, rodziny, tradycji — kult chwil minionych, serc, które bić przestały i dusz świetlnych, które są w nas i z nami, mimo iż dawno ciała ich odeszły, — wszystko, co jest w nas świątynią wspomnień, cichą przystanią smutków, powiernikiem krótkich godzin radości, — wszystko to mieści się w tem jednym pojęciu.

Dworek rodzinny.

Szczęśliwy, kto — w galopadzie życia — nie zatracił jeszcze drogi do niego, kto może powiedzieć:

— Tam! — w dalekiej czy bliskiej wsi polskiej czeka na mnie taki, jakim zostawiłam go wczoraj czy dziesięć lat temu... Drzwi, mocno w twardej modrzew czy dąb wparte, stoją dla mnie otworem o każdej porze dnia i roku. Czy śnieżna zawieja pod progiem, czy w okna patrzą blado różowe, bezlistne magnolie i ciemno fioletowy bez wiosenny, w którym śpiewają słowiki, — czy w letnim skwarze rozkwitły cytryny i pomarańcze — straż przed gankiem, wystawiana z pierwszym podmuchem ciepła, czy z południowego balkonu zwieszają się kiście słodkich winogron, a lipy okwitłe ślą mi pozdrowienia, — zawsze — cichy, jasny, przeczysty w swej bieli zwywa:

— Odpocznij!...

Gdy wejdę, powitają mnie twarze dawno zmarłych przodków. Ta śliczna, drobna pani, która znała gospodarstwo, jak ekonom, a w białej, szczupłej rączce trzymała ster rządów silniej od najtwardszego dziedzica i miała czas na wszystko — codzień objeżdżała folwarki, codzień czytała ewangelję i kładła pasjanse, a raz do roku — z małą walizeczką — puszczała się na kilkutygodniową podróż zagraniczną. — Wita mnie ta sztywna blondynka z girlandą kwiatów od szyi do boku. Ta zadzierzysta, pulchna dama w białym czepcu, gdzieś z za kredensu rozmrugana... Ten wojewoda, ten młodziutki kasztelan w czerwonym żupanie o ściągłej blado — kre-

mowej twarzy jakby z makartowskiego portretu...

I tylu, tylu innych...

Witają kwiaty, żywe, piękne.

Zimą — palmy w klombach pokojowej zieleni. Zatem — ach, przepych barw, zapachów, zjawy kształtów. Witają stare kryształ w serwantkach, grzbiety książek za szkłem półkolistych, w mur balkonowej komnaty wpartych szaf bibliotecznych..

Na tem samym miejscu każda rzecz — pamiątka. Te same ponosowe kilimy w gabinecie dziedzica. To piękne łóżko z czasów Cesarstwa.

O której porze dnia czy roku wejdę, ten sam jasny odbłask białych ścian i ten sam jasny uśmiech tego, który wita mnie na progu.

Cichy, biały dworku rodzinny! — Przewalili się burze nad tobą, ale ty trwasz.

Zmieniają się kwiaty na klombie przed gankiem — w maju różowe, jak niecałowane jesze usta młodej dziewczyny, później — aksamitem ciemno fioletowych bratków połyskliwe, jeszcze później — całe szkarłatne od główek pelargonji. Aż przyjdzie zima śnieżyca i klomb cały stanie w bieli.

Zmieniają się kwiaty, w ogrodzie, I nie tylko kwiaty, nie tylko w ogrodzie.

Patrzą przodkowie przez szyby okien w daleką przestrzeń dziwią się.

Co to? — Żelazne potwory, uwiązane do koni, zgarniają zboże z pól. Warczą koła i pasy czarnych maszyn przed stodołą wypełniają czystem ziarnem wory, podsuwane pod ich paszczę. Lekkie — o jednym koniu zębate djabły, jakby apokaliptyczna szczęka z żelaza — zgarniają porzucone przez żniwiarki kłosa na rżyskach.

Co to wszystko znaczy?...

Drzemcie sobie cichętko, wojewodziny i wojewodowie w złoconych ramach portretów. Czas wasz już przeszedł. Nowi ludzie, nowe pomysły, nowa technika, nowe wymagania. Nie podolalibyście już z waszą starą, zamierzchłą wiedzą.

Śpijcie spokojnie!...

Gdzie za was lśniło się w pałacach, a robactwo, pył, brud półrozwalonych izb czeladnych żarły ciała waszych parobków, — dziś —

wprawdzie niema pałaców, ale stoją schludne, murowane domki robocze z pomieszczeniem dla każdej rodziny oddzielnie. Gdzie krwawiły się ręce i nogi od trudu przemożnego, — tam — z pomocą przychodzi maszyna.

W rękach ludu roboczego wyzyskanie korzyści, które im dają „nowe czasy“ — nie zanieczyszczanie schludnych domków, otoczenie ich kwiatami, zielenią, zaprowadzenie ogrodu przed każdym z nich. Znajdzie na to czas człowiek, któremu pomaga maszyna. Znajdzie czas na pracę w obejściu swoim i na dobrą książkę kształcącą.

A wy, — dworki rodzinne — jeszcze jesteście, jak słupy graniczne, jak wielka barjera, od której odbijają się i cofają wstecz hasła najjaskrawszych wywrotów.

Z w a l i ć w a s ?

Padłyście na kresach legionem, padacie wszędzie. Tem bardziej drogie te, które są jeszcze ostoją dawnych umiłowań.

Co wart jest naród bez tradycji?...

Powie ktoś — Ameryka — z wielkich państw najnowsza.

Ale i ona ma już historję swoich walk wyzwoleńczych, i ona już nosi w sobie piętno tej zasadniczej odrębności, tych cech swoich — tych znamion indywidualnych, które muszą wyróżniać jeden naród od drugiego. Zatraca je ten tylko, co rozsypuje się w piachu nicości.

Bo naród — jak człowiek — tem potężniejszy, im bardziej wyrazisty i zdecydowany w swej osobowości, tem żywotniejszy, im bardziej skoncentrowany w dążeniach i hasłach swoich.

A skąd je czerpie?

Jak na czyn człowieka składa się długi łańcuch przyczyn i skutków — jakby napływowych, jakby przyczajonym odruchem z zewnątrz narzuconych — tak czyny i dążenia narodów rodzą się i wyrastają z ośrodka ich tradycji. Pęd czasu przetwarza je, na inną nutę nastroja, w inny rytm rzuca.

Ale jutro, cecha zasadnicza pozostaje. Anglik będzie zawsze tym chłodnym intrygantem, wyłapującym cudzemi rękami z pieca gorące kasztany, tym snobem zimno

krwistym, jakimi zarysował się od wichrów. Niemiec — z rodu Krzyżaków — nigdy nie wyjdzie ze skóry wieprza, któremu zawsze mało strawy w szafliku i nastawia kły i kwiczy i kąsa, żeby mu dać więcej; Francuz — umysł jasny, algebraiczny — będzie zawsze przodował ideałom i zawsze walczył o górne hasła, choć ani na chwilę nie spuści z oka własnych interesów i potrzeb. Moskal — ach! ten — od wieków — po przez tępy serwilizm i dzikie bestjalstwo, po przez obłąd pijacki i niesamowite chucie, w mroku piekieł wyłęgłe, — pędzi i cofa się, odbija się i zwraca na żaglach nihilistycznych mrzonek.

Polak...

Jeżeli bolszewizm nie zapuścił macków w głąb jego duszy — jeżeli dwaj wrogowie z zewnątrz i trzeci wewnętrzny nie zmogli go zasiekami najpotworniejszych pokus i zasadzek, — jeżeli mimo niego przewaliły się góry złota, rzucane dla wywołania bezładu w kraju, — co go ocaliło?...

Mówią — „chłop i robotnik walczył Polskę“...

Walczyły o nią w ostatnim boju wyzwolenicznym wszystkie stany i wszystkie sfery. Walczyli starcy, kobiety, dzieci. Każdy szedł z żarem w piersiach i błagalną emanacją całego jestestwa swego:

„Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!“

Każdy chciał, żeby była Polska. Każdy w łzach całował świętą ziemię, żeby stygmatem pocałunku obronić ją przed wrogiem.

Na czele tych najdzielniejszych, tych najtęższych stawali ci, co rzucając zagrody swoje, obejście,

domy rodzinne, — woleli raczej zginąć, aniżeli oddać je na żer obcej przemocy.

Jest wolna Polska. Jest Jasna Rzeczpospolita.

Setki zagród, tysiące domów rodzinnych w jej imię runęło. Ale te które zostały, są jak znicze. Płonie w nich zarzewie tych ukochań, bez których naród stacza się w przepaść nihilizmu. Promieniuje ze starych kątów, gdzie rosły i umierały pokolenia, — z pękających gruszek i śliw smukłych w sadzie, z tajemniczych olch nad łąkami, zasadzonych ręką zabiegliwego dziedzica, — z każdej piędzi zaoranej i obsianej roli tężyzna ducha, który stoi na straży ziemi ojczystej.

* * *

Szyły panienki dworskie sto pięćdziesiąt lat temu, czerwone koszule garibaldijskie i zakopywały je w skrzyniach głęboko, żeby czeka-

*) Ob. Karolina Bielańska „Franciszek Nullo i jego towarzysze“. Z przedmową Stefana Żeromskiego. Wydawnictwo Księgarni Robotniczej.



ły na gości zagranicznych, którzy mieli przyjść bronić Polski.

Przyszli — włoscy „ułani śmierci“. Przyszedł Francuz — historyk — pisarz — ekonomista — społecznik. Ale — padli w pierwszej zaraz walce pod Krzykawką jedni, inni — schwytni przez Moskali — skazani na dożywotnie ciężkie roboty — skonali w dzikich stepach syberyjskich. Kilku tylko wróciło. Trzech czy czterech Włochów pod gorące słońce Bergamo i Francuz Andreoli, po którym został pamiętnik z dziejami Legii cudzoziemskiej i z hołdem dla spotykanych w kazamatach polskich zesłańców.*)

Szczerbiały i rozsypany się na wietrze koszule szkarłatne. Te, które zostały wkopane w skrzyniach głęboko, — rozebrała między siebie młodzież polska, — ta — z dworków rodzinnych, ta — wykołysana szumem lip w ogrodzie, przepojona wonią ciemno — fioletowych i białych bzów wiosennych, rozkochana we wszystkim, co swoje — powietrzu, ziemi, ciemnych stawach rybnych przed domem, żółtych storczykach nad strugą łąkową, różowych główkach syleny na klombie tarasu, a nade wszystko — w białych ścianach tych drogich komnat, gdzie na kolanach ojca i matki słyszeli pierwszy raz o Polsce — wtedy, kiedy to słowo, wymówione w obec siewpacza moskiewskiego, — groziło kaźnią więzienną.

„Dworek rodzinny“ — to już prawie symbol czegoś, co jest jeszcze, ale już kończy się, żeby może — powstać w innej formie. Symbol twierdzy obronnej, strażnicy narodowej, znicza najczystszych ukochań i najświętszych obywatelskich powołań. C. Walewska

DZIAŁACZKI OKRESU KONSPIRACYJNEGO



tóż cię zapomnieć może, kto cię przeżył, epoko posępnej i bezdusznej nicości i beznadziejnego chylenia głowy ku skonanemu! Na tronie wszech Rosji — Aleksander III, car — cham na zamku królów w Warszawie zasiadał generał gubernator Hurko; oświatę

w Królestwie miał w rękach swoich Apuchtin.

System ustalony rządów niezmienny, nie podlegający wahaniom, nie uznawał żadnej innej narodowości, prócz rosyjskiej, żadnego innego języka, prócz państwowego, żadnej innej religii, — prócz prawosławnej.

Szkoła zrusyfikowana od góry do dołu, szkoła, w której dziecku

polskiemu pod najsurowszą karą nie wolno było odezwać się po polsku, szkoła z podręcznikiem Ilowajskiego do historii i z byłymi urzędnikami kuchni carskiej — na stanowiskach dyrektorów!...

Epoko codziennego męczeństwa opornych unitów, ściganych, jak dzikie zwierzęta, zmuszanych do prawosławnych ślubów, chrzcina, pogrzebów...

Epoko wszechmocy policji rosyjskiej, żandarmerji, „ochrony“ i... cenzury przewencyjnej!...

Któż ciebie może zapomnieć, kto cię przeżył?

Niosłaś ze sobą codziennie nowe rozporządzenia, zmierzające do ściślejszego zespolenia „Prywiślinja“ z „Impierja“.

Nie dość ci było zrusyfikowania wszystkich instytucyj państwowych, zażądałaś prowadzenia po rosyjsku całej rachunkowości towarzystw akcyjnych, spółek, przedsiębiorstw prywatnych itd...

Na kolejach napisy rosyjskie, służba kolejowa w fałdowanych z tyłu sarafanach „narodowych“, na dworcach obraz Matki Boskiej, koniecznie „w rogu“, a czasem i złocista kaplica prawosławna, gwoli mocniejszemu zaakcentowaniu rosyjskości tego kraju!..

Cenzor nie pozwalał na druk wrażeń smutnych... Je-ień i słowa były mu podejrzane... po ulicach włożyły się „filary“ tam i z powrotem, tam i z powrotem, a choć serce ogółu pełne było tylko trwóg i niemej zgrozy, cele pawilona, ratusza, X pawilonu i innych więzień, pełniły się wciąż Bóg jeden wie, jakimi przestępcami politycznymi.

Któż was zapomni, o czasy, gdy dla człowieka o gorącym sercu, o żądzy społecznej czynu nie było nic, nic do roboty!...

Żadnych stowarzyszeń, nawet filantropijnych; prócz starego, dyszącego śmiercią Warsz. Tow. Dobroczynności!

Żadnych związków! Na bawiące się bezmyślnie kluby sportowe spoglądano podejrzliwie.

Praca nad oświatą ludu była zbrodnią polityczną. A oświata znajdowała się w najgłęszym upadku. Celował By zrównać „Prywiślinje“ w nędzę duchowej z wewnętrznymi prowincjami cesarstwa „Po Warszawie snuły się tysiące dzieci bezszkolnych... Nie było szkół! nawet tych rosyjskich, tych nędznych szkół, z których dziecko po 7-miu latach nauki wychodziło, nie umiejąc czytać, tych nawet szkół była liczba śmiesznie mała w stosunku do ilości dzieci w wieku szkolnym! Analfabetyzm wzrastał z roku na rok, a z nim, — zdżiczenie, przestępczość, prostytucja.

Epoko, w której każda myśl dobra, uczciwa, szlachetna pozostać musiała teorią, każda myśl szpetna, niegodziwa, nikczemna... z największą łatwością stać się mogła czynem...

Trzeba tu było choć szkicowo narzucić twoje rysy, by człowiek

dzisiejszy zrozumieć mógł, czem była ówczesna konspiracja? Z jakiego powodu? W jakim celu?...

* * *

Do „Koła Kobiet Korony i Litwy“ wprowadziła mnie pod koniec 1894 r. Stefanja Sempołowska, szeroko już wówczas znana w Warszawie nauczycielka i działaczka, młoda, piękna, wymowna, pełna entuzjazmu, skłonna zawsze najbardziej krańcowych chwycić się hasła!..

Przewodniczącą Koła była wówczas s. p. Cecylja Niewiadomska. Jej młoda jeszcze twarz, w aureoli białych włosów, dziwnie spokojna, uduchowiona i pogodna budziła najgłębsze zaufanie.

Tak zwaną „Przedstawicielką“ Koła była dr. Teresa Ciszkiwiczowa.

Tytuł ten, nowicjuszkę, jaką byłam wtedy w sprawach konspiracji, zastanowił mocno. Rozumiałam, że na czele każdego związku jawnego, czy tajnego stać musi zarząd.

Ale słowo „przedstawicielka“ było dla mnie niezrozumiałe. Dr. Ciszkiwiczowa nie należała do Zarządu, a zdawała się stać ponad nim. Zapytywane o to, dawniejsze członkinie Koła odpowiadały jakoś głucho, że istnieją przecie inne jeszcze organizacje tajne i że „przedstawicielka“ jest łącznikiem pomiędzy nimi, a naszym „Kołem“. Otwierało to przed moją wyobraźnią dalekie perspektywy. Były więc i dalsze stopnie wtajemniczeń... Dopiero jednak w parę lat później dowiedziałam się, że tą organacją tajną, z którą łączyła nas dr. Ciszkiwiczowa, była Liga Polska, zwana później Ligą Narodową, stanowiąca związek ściśle zakonspirowany, aspirujący do owładnięcia szerokimi kołami opinji w Polsce i do wyłonienia z siebie Rządu Narodowego, w myśl tradycyj lat sześćdziesiątych.

Dr. Ciszkiwiczowa od razu zdobyła sobie najwyższą moją sympatię. Jej szlachetna, rasowa twarz miała w sobie jakąś cudowną słowność. Wystarczało, by weszła na zebranie i spojrzała dookoła jasnymi oczami, a pierzchały z serc naszych trwogi, zwątpienia i smutki, z których składało się wtedy życie polskie; promienna wiara, nigdy niezgaszona nadzieja żyła w tej Litwinie — Polce z siłą, której żadna przemoc, żadne klęski i żaden upadek ducha powszechny zabić nie mógł.

Młodością wczesną sięgała jeszcze powstania, w którym, jako

dziewczynka 13 letnia brała czynny udział, dowożąc wraz z młodszym braciszkiem amunicję i żywność do oddziału powstańczego ks. Mackiewicza na Żmudzi. Bywało, iż przyjeżdżać trzeba było drogami zasnutymi przez żołdactwo moskiewskie, ale widok siedzących na bryczce dwojga jasnych, pogodnie uśmiechniętych dzieci uniemożliwiał wszelkie podejrzenia. Uśmiech ten był im obroną. Nie rewidowani mijali szeregi....

A później wyruszyła młodziutka bohaterka w świat daleki. Pojechała do Szwajcarii kończyć wydział medyczny. Była jedną z pierwszych „jaskółek“ postępu i walki o równe prawo kobiet do wiedzy.

Po zdaniu państwowego egzaminu w którymś z miast rosyjskich osiadła w Warszawie i wkrótce zdobyła sobie tutaj prócz bardzo rozległej praktyki lekarskiej, szacunek, uznanie i sympatię powszechną. Dusza, o czystości kryształu, serce wrażliwe, miękkie, współczujące, kobiece — umysł wyrobiony, logiczny, męski!

Klijenteli jej część bardzo poważną stanowili ubodzy. Niewyczerpana w miłosierdziu odwiedzała poddasza i suteryny, niosąc wszędzie nie tylko bezpłatną pomoc lekarską, ale i serdeczną radę, wsparcie, opiekę, lekarstwa. Kochali ją wtedy ludzie. Resztę czasu oddawała tajnym organizacjom, budzeniu ducha w społeczeństwie przy bitem i chorem, za wszelką cenę pragnącym spokoju, niezdolnym do oporu. Gdy ją poznałam, „Koło Kobiet Korony i Litwy“ było jedną z ważniejszych placówek jej pracy. Należało doń wówczas około 50 osób — liczba, na owe czasy, nie mała.

W pamięci zostały mi następujące nazwiska: 1) Bielička Zofja 2) Bobowska, 3) Bronowska Celina, 4) dr. Ciszkiwiczowa Teresa, 5) Czernowska Michalina, 6) Dicksteinowa, 7) Gomolińska Marja, 8) Jahołkowska Jadwiga, 9) Jaillard, 10) Kanigowska, 11) Krausharowa Jadwiga, 12) Marrené Walerja, 13) Morzkowska Antonina, 14) Męczkowska Teodora, 15) Morawska Zuzanna, 16) Morzycka Faustyna, 17) Muklanowiczówna Wiktorja, 18) Niewiadomska Cecylja, 19) Pankiewiczówna Emilja, 20) Pisarzewska Stanisława, 21) Rudnicka Franciszka, 22) Sawicka Józefa (Ostojka), 23) Sempołowska Stefanja, 24) Stankiewiczówna Zofja, 25) Skłodowska Helena, 26) de Filly Marja 27) Trzcńska Ludwika, 28) Warnkówna Jadwiga, 29) Weryho Marja.

(c. d. n.)

Helena Ceysingierówna.



JASKÓŁKI

(Z upoważnienia autora z oryginału włoskiego przełożyła Helena Biedrzycka)



Pod sklepieniami i arkadami „Uffizzi”, od strony Arna jaskółki zbudowały miasteczko gniazd.

Z kraju lazurowego i świetlistego, z kraju lotosu ibisów i sfinksów wracają one tu każdego roku po ścieżkach w przestrzeni.

U stóp muru nad Arnem, w miejscu, gdzie się wychyla balustrada „Uffizzi” jest płat pozostałego, starożytnego brzegu, zielony skrawek dziewiczej natury, żywy głos lat pierwotnych, kiedy w zadumie wieczorów letnich, w zapomnieniu opalowych wód pędu, faun zniecka podchodził nagość uspio-nych nimf. Zielone trawy drżą, trącane wiatrem, tak jak na wolnych brzegach lat minionych, a z wieczora, kiedy księżyc pobladły wychyla się z za wzgórz, żaby—nieświadome ubiegłych stuleci i florenckich triumfów, rechoczą, rozsiewając naokół czar wiejskich samotni.

Jaskółki, zaledwie dotykając tajnym lotem ziemi, zbierają w tym kątku błoto do swych gniazd, krótkim świegotem pozdrawiając przejrzystą radość wód. Tu, na brzegu wątlęgo Arna, między gzymsami i arkadami „messer Giorgio” a — czy też na brzegu triumfalnego Nilu, między ruinami starożytnego Memfis, — wszystko jedno! we wszystkich rzekach jest błoto do lepienia gniazd; wszystkie miasta i lądy dla jaskółek są gniazdem. Do zimnej powagi tych budowli, zamieszkałych przez umarłą chwałę, gniazda jaskółcze wnoszą naiwny uśmiech chat.

Przytulając skrzydła do miękkiego i wysmukłego ciała, samiec i samiczka, z krótkim, miłosnym świegotem, drżąc, mieszczą się kolejno w maleńkim domku. Z jajami i piskletami razem, z trudnością pomieścić się tu można, ale tam w górze niebiosa są niezmierzone i obejmują lądy i oceany.

W omdleniu letnich wieczorów, Florencia koi się i skupia w mroku, jak kwiat wiedzący, wydechając w wielkiej ciszy dźwięk swych dzwonów i świeże tętnienie ogrodów.

Tam, w górze, w bladej ekstazie ostatnich blasków, długie i powolne loty jaskółek, ich świegot rozległy—snują przedzę tęsknoty, podczas gdy szmer skrzydeł, oświetlonych płomieniami zachodu, żegna słońce, odchodzące ku dalekim kontynentom; wtedy z pustych gniazd, wieje naokół uczucie opuszczenia, a we wgłębiniach nisz, cztery postacie bohaterów florenckich zdają się śnić w zapadającym zmierzchu.

O Ferruccio i Farinata! O Pier Capponi i Giovanni delle Bande Nere! W osasach waszych wielkich czynów, tak jak i dziś wody w rzece spływały do morza, a jaskółki w zachwycie nieszpornych godzin letnich, lotami swemi i świegotem snuły nic niewypowiedzianych tęsknot.

MARIO TINTI

MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O

ŚWIAT KOBIECY

CZĘŚĆ II.

ŚWIEKRA I SYNOWA

(W przeszłości)

— Ludzie, ratujcie mię, bo ja oszaleję!.. czy może ja już zwariowałam?! Czy to o n tak mówi do mnie? do swojej matki tak mówi Józio?— mój najdroższy syn, pierworodny?! którego dwa lata własnymi pierśmi karmiła... którego nigdy nie dotknęła się ręka niańki, tylko moje ręce w dzień i w nocy go piastowały, któryby się mógł wykąpać w łzach moich, taki duży, jak dziś jest!.. któremu poświęciłam życie i szczęście serca. Owdowiałam, mając lat dwadzieścia ośm— a kiedy miałam trzydzieści, był ktoś, co mi się podobał szalenie i który u nóg mi się włóczył, że bym za niego wyszła... Byłam urodziwa, młoda i bogata i zamknęłam się w dzieciennym pokoju.

Oto masz, matko, za swoje poświęcenia! — ta się nie poświęciła,

nie bolała, nie harowała... tylko puściła paluszki po fortepianie, rozpuściła włosy... i już go ma! — z ciałem i duszą — na zawszel — Już mi go odebrała! — przerobiła w nim serce — wygnała z niego matkę. Ja już dla niego jestem niczem — mnie nie ma... Słyszycie? wyprowadza się ode mnie — opuszcza mię na starość, bezradną i zniedołężniałą... Oddaje mię na pastwę służby, która mię będzie okradać...

To wszystko sprawa jej! Ha! przynajmniej dobrze zrobiłam, żem jej ten przeklęty kołtun obcięła... żem jej te obmierzłe kłaki obstrzygła... Nie bój się!.. już ci takie drugie nie odrosną!.. co nie — to nie!..

W kilka tygodni potem do gabinetu pana, późno wieczorem ktoś lekko zapukał. Strasznie zmieszana, drgająca, spotniała ze strachu stanęła w progu stara Brygisia.

— Cóżecie tam znów nagłupili?

— Proszę jaśnie pana, byłam wczoraj u spowiedzi i ksiądz mi zatrzymał rozgrzeszenie, dopóki nie powiem Jaśnie Panu wszystkiego, co wiem.

— Mów!..

— Pani młoda zachorowała z okropnej irytacji — Pani starsza zrobiła jej taką awanturę, żeśmy już tylko młodą panią sżywną i zimną, jak nieboszczkę, na łóżko potem zanieśli..

A ja to całej tej awantury wysłuchałam, ukrywając się za portjerą. Działo się to w pokoju mł

dej pani. — Jaśnie pana w domu nie było... Starsza pani wpadła tam jakoś po obiedzie... Biegała prędko dookoła stołu i gadała... gadała... gadała... A młoda pani haftowała pod oknem i nic... tylko łaża łażę pobijała...

Proszę jaśnie pana nie gniewać się, że będę mówiła rzeczy, obrazające godność jaśnie państwa — i że mówię przeciwko starszej pani, która zawsze dobra była dla mnie, jak matka (Brygisia zaszłochała głośno) — ale muszę, bo mi spowiednik kazał i rozgrzeszenia inaczej nie da.

Pani starsza tak mówiła:

— Piękną mi przyprowadził synową: panna Tasakówna, córka muzykanta! Tacy grywali u mnie na balach — posyłało się po nich furę do miasteczka... Trzebaż przecie mieć trochę ambicji?! — nie lezie się w cudzą rodzinę, jak nierogaczka w ogród, nie zapytawszy się, czy cię chcą? Trzeba było paść matce do nóg — tak! — zapytać się matki, czy zezwala...

Ślub to grób powiadają — nie prawda! — jest rozwód dla tych, co mogą synąć pieniądze. Poświęcam na to dwie wsie. Jedną na kosztą procesu — drugą tobie daję do ręki, będziesz bogata — tylko ustąp! — ustąp z tego domu — wypuść ze swoich szponów moje dziecko,

— Tanio matka oszacowała syna! — ja męża na sprzedaż nie mam. — Ale ustąpić? — dobrze — ustąpię, odejdę...

— Ciekawam gdzie?!

— Do Ojca mego... który jest w niebiesiach... Mam już nawet pieczęć przyłożoną na paszporcie... — zaśmiała się gorzko — i przytknąwszy do ust chusteczkę, pokazała na niej plamę krwi...

Ostatnie słowo, niedomówione, zastrzegło w gardle Brygisi. Skamieniała... w pokoju działo się coś niesamowitego? Pan wydawał z siebie jakiś dziwny bełkot, bełkot głuchoniemego... rozległo się charczenie... rżenie... Głowa gwałtownie spadła, jak martwa rzecz — i pociągnęła za sobą masywny korpus, który zwaliwszy się na brzeg biurka, przeważał go i runął z nim na ziemię... Lampa, rozbita, zgasała,

rozległ się w ciemnościach przeraźliwy wrzask Brygidy — dzwonięcie wszystkich dzwonek — zlatywanie się ludzi — rozlatywanie się koni we wszystkie cztery strony świata: po felcerów, po doktorów. Wszystko to było na nic. Piorunujący atak apoplektyczny położył go trupem na miejscu.

Józef Topolski nie żył.

W kwiatkach i świecach na środku sali stała trumna — z dwóch stron klęczały przy niej matka i żona w olbrzymich kirach. Obie tym samym gestem położyły umarłemu rękę na piersi... Ręce te spotkały się ze sobą — pochwytyły się frenetycznie... zacisnęły w uścisku konwulsyjnym...

Wtenczas zapuchnięte od łez i osłepłe, obie razem podniosły oczy i wlepiły je w siebie... Miały w nich obie tę samą otchłani miłości, która się stała otchłanią rozpacz. I jedną nad drugą zdjęła wielka litość — upadły sobie w ramiona płakać na piersiach jedna u drugiej.

O jakżeby teraz umiały żyć ze sobą... i kochać się — jakżeby wszystko potrafiły sobie pobłagać i wybaczyć... O jakżeby pragnęły!..

Ale już na zegarze życia przeminęła godzina szczęścia i kochania — uderzyła godzina żałoby i pokuty...

W starożytnym, obszernym dworze Topolowieckim mieszkała już tylko jedna stara matka, Anna Topolska dotknięta cichym, nieuleczalnym obłędem. Śmierć syna — urodziny wnuka — śmierć synowej — wypadły jej zupełnie z głowy! — Pamięć cofnęła się do nieco wcześniejszych zdarzeń i na nich znieruchomiała — pamiętała to tylko, że syn śmiertelnie rozgniewał się na nią — zabrał żonę i wyprowadził się z Topolówki. A przebaczy jej i przyjdzie do niej dopiero wtedy, gdy jego Basi odrosną włosy, tak długie, jak były te, które jej ucięła.

Co dzień pod wieczór, gdy w obszernych, a nieco niskich pokojach Topolowieckich zaczynają się po kątach gromadzić cienie,

ukazuje się jej Widmo Synowej, ubrane białe — złote włosy spływają do ziemi — idzie przez cały dom... z pokoju do pokoju... z pokoju do pokoju... a idzie tak szybko, że stare nogi nie mogą za niemi nadążyć... Więc prosi się ze łzami: Basiu stań! na jedną chwilkę, błagam cię... niech tylko zmierzę ci włosy... Bo ja widzę, że one są już zupełnie takie same!... Brygido! Brygido! — Femciu! gdzie ciocia Femcia? One były przy tem... Wszak prawda, że młodej pani włosy już całkiem odrosły? — Basiu, i ty sama musisz to widzieć... Dla czegoż tego Józiowi nie powiesz?!... On zaraz gniewać się na mnie przestanie i powróci do Topolówki — przyjdzie tu do mnie — po tylu latach niewidzenia się i tęsknoty, mój najmilszy, mój pierworodny syn, Józio! Widmo wtenczas zatrzymuje się i podnosi do góry dwa palce prawej ręki.

Brakuje?!... o mój Boże... znów na dwa palce brakuje...

Jeszcze muszą urosnąć na te dwa palce.

Jeszcze czekać... jeszcze cierpieć...

* * *

W najbliższym sąsiedztwie Topolówki na werandzie przed domem dopijano wieczornej herbaty, W zmierzchu to błyskały, to gasły węgielki papierosów... Ktoś z sąsiadów po kilkuletnim pobycie zagranicą, powrócił i wprowadzano go w tok przeżytych zdarzeń. Rozmowę prowadziło kilka głosów.

Cóż za okropny dramat! Chyba ta młoda Topolska musiała być jakąś wyjątkową jędrą?! Bo stara pani Anna całe życie słynęła z dobroci. Była idealną żoną i matką. Więcej, była dobrym człowiekiem. Kochaliśmy ją wszyscy, całe sąsiedztwo, wieś i służba. A służba mało kogo kocha...

Tak, dla wszystkich dobra, dla najbliższych anielska, dla synowej była katem! Zgadzą się w tem wszystkie zeznania nacocznych świadków i bezpośrednich. Opinia publiczna wini matkę. Młoda zносиła wprost neronowskie prześladowanie, jak święta. Tylko się zapłakiwała po kątach w sekrecie przed mężem... wpadła z tego w suchoty — i umarła. (c. d. n.)



J U L J U S Z W I R S K I

4

IDYLLA NA ARKTYKU



wierzęta zgnały się już mocno, buchały parą z nozdrzy i spoconych boków, ale szły wciąż ostro. Gdy wymiarkował, że pierwsze piętnaście kilometrów już przebyli, ostrym krzykiem zatrzymał cały zaprząg. W tym samym momencie stanęły w pobok uciekające skały i snująca się nakształt płótna płaszczyna śniegu. Sprawiedliwie rozdzielił część zabranego siana, pracowicie zebranego w tundrze, a składającego się z mchu i pewnego gatunku porostów, — natychmiast też rozległo się łapczywe żucie i miażdżenie twardej, ale jakże smakowitej paszy. Piotr zaś, korzystając z postoju, obejrzał uprząg i ładunki, czy aby wszystko w porządku. Ale nie brakowało nic, więc po krótkim spoczynku ruszył dalej.

Miejscowość, gdzie się odbywały targi wiosenne, leżała na wschodnim wybrzeżu cyplu, na południe od wyspy Ś-go Wawrzyńca. Było to już morze Beringa. Nazwy miejsce to nie nosiło żadnej — jarmark po prostu. Może gdzieś w uczonych słownikach geograficznych, te kilka szop i mała przystań miały jakieś imię mądre wielkiego podróżnika, czy protektora, ale ci nieliczni rybacy, myśliwi i łowcy wielorybów nie wiedzieli o tem i miejscowość zwali po prostu, we wszystkich swoich łamanych językach — jarmarkiem.

Oczywista, że inaczej to brzmiało w ustach Czukera, czy Jakuta, a inaczej w ustach Anglika, Francuza, czy też zbiegłego z pobliskiej Kamczatki katorżnika — ale sens był zawsze i niezmiennie ten sam.

Stało tam kilka szop i chat, budowanych, jak wszędzie na dalekiej północy, z drzewa okrętowego, z pęcherzami rybiemi, lub przetłuszczonym papierem zamiast szyb i wielkim piecem kominem pośrodku. Jedna z tych szop nosiła dosadne miano „Tańczącej Foki” i służyła za miejsce zebrań, transakcyj handlowych i pijatyk, które nierzadko kończyły się bójką. Opodal, może o jakie trzysta jardów, mieścił się plac, gdzie zostawiano to, co przywieziono na sprzedaż. Piotr przyjechał już za dnia i pierwszym człowiekiem, którego spotkał, był Thomson, stary wyga morski, kupiec, myśliwy,

poszukiwacz złota, zresztą dobry towarzysz i uczciwy człowiek.

Thomson, od czasu jak stracił w tragiczny sposób młodą i nad wszystko umiłowaną żonę, to znaczy od lat trzydziestu, grasował nieustannie pomiędzy cieśniną Beringa, przylądkiem Deniewa, a przylądkiem księcia Walji, Alaską i Jukonem.

Miał córkę podobną do żony, jak dwie krople wody, którą ubóstwiał po swojemu — szorstko i miłcząco i dla niej to gramażił majątek i tak już dość znaczny. Córka kształciła się w swoim czasie w St-Luise, gdzie Thomson posiadał rozkoszne fermy i tam poznała młodego inżyniera marynarki ze stanu Ohio, którego pokochała i poślubiła. Thomson, zapytywany, dlaczego nie mieszka przy córce i zięciu, odpowiadał niechętnym pomrukiem, że jest jeszcze za ubogi, albo nie odpowiadał wcale. W rzeczywistości widok szczęścia młodych, a zwłaszcza niepospolite podobieństwo córki do zmarłej żony, zbyt boleśnie przypominały mu własne szczęście na wieki już utracione. Ten ogromny, niezgrabny, o ponurem wejrzeniu Yankes, posiadał rzadki dar kochania raz jeden. I tę swoją wielką, subtelną, głęboką miłość przeniósł poza grób. Piotr, którego sprawy serdeczne miały się zgoła inaczej, jednak przez pokrewieństwo cierpienia czuł i rozumiał starego Thomsona najlepiej. Nigdy nie mówił zresztą o tych sprawach ze sobą, gdyż ludzie samotni i zdruzgotani jakimś prawdziwym, wielkim cierpieniem nie potrzebują słów. Może właśnie dla tego polubili się tak serdecznie, że żaden nie wdzierał się w krwawe otchłanie męki drugiego. Thomson, skoro tylko zobaczył Piotra, narobił zaraz straszliwego hałasu na cały jarmark począł kłać po angielsku, czukocku, indyjsku i tak klnąc, złorzecząc i wrzeszcząc szedł z otwartymi ramionami do przyjaciela. Ten odwzajemnił mu się męskim, mocnym uściskiem. W kilka godzin sprzedali razem z Thomsonem cały roczny dorobek Piotra, przyczem niektóre z futer wyjątkowej piękności i ceny nabył sam Thomson.

Na drugi dzień Piotr miał czynić zakupy dla siebie, tymczasem zaś nakarmiwszy się i napoiwszy reny, szedł z przyjacielem pod „Tań-

czącą Fokę”. Był znużony, senny i głodny, a przytem przeżycia ostatnie, powracające z każdą wiosną i ostre uczucie niepowetowanej utraty, sprawiły, że z istotną radością wchodził do ubogiej gospody. Kazali przyrządzić grog i jedzenie, a tymczasem, krótkimi zdaniem i bez próżnej straty słów, opowiadali sobie, czego to dokonali na lądzie i morzu ubiegłej zimy, Nie poruszając nigdy spraw ściśle osobistych, przeżyć wewnętrznych, umieli sobie ci ludzie powiedzieć o wiele więcej, opisując przygodę na polowaniu, niż inni godzinami paplając po pijanemu o sobie.

Podano im ryby, smażoną szynkę, jaja alk i dzikich gęsi oraz grog. Jedli i popijali, od czasu do czasu spoglądając sobie znacząco w oczy. Wiedzieli doskonale, czem jest zdobywanie pożywienia w tundrze i na niegościnnych wodach północnych mórz, przeto nie gardzili bynajmniej darami bożemi. Kiedy Piotr nasycił pierwszy głód i mimowoli spojrzął w ciemniejszy kąt izby, ujrzał coś zgoła nieoczekiwanego. To, co zobaczył, było tak niezwykle w tym zakątku odległej północy, że na chwilę zapomniawszy o gorącym napoju. W półmroku izby siedziała, profilem do niego odwrócona, młoda dziewczyna o ciemnej cerze, po której Piotr od razu poznał Indiankę, z nad brzegów Jukonu. Miała długie, czarne warkoczki, wielkie, żalonne, zawsze wilgotne oczy i śliczny profil. Kobieta, w dodatku dziewczyna młoda i piękna była tutaj zdarzeniem niesłychanym. Kiedy Thomson pochwycił zdumiony wzrok przyjaciela, począł się śmiać serdecznie, głośno i niepomahowanie. Było to również niesłychane, że Thomson się śmieje, przeto Piotr zupełnie stracił głowę. Po chwili tamten wstał, ujął dziewczynę za rękę i doprowadził do stołu: — „Nazywa się Alkasen i jest ze szczepu północnego, z nad brzegów Jukonu. Znalazłem ją tej zimy na pół zmarznąłą i odtąd wożę ze sobą. Nie ma rodziców, którzy wymarli, ani żadnej bliższej czy dalszej rodziny. Chciałem ją zawięść córce, ale jeśli się tobie podoba — zabierz ją. Mówi trochę po angielsku, jest silna, zdrowa, zna robotę i może ci się naprawdę bardzo przydać w twej pustelni”. Tyle powiedziawszy jednym tchem,

Thomson odsapnął, jak po ciężkiej pracy, popił grogu i uderzył mocno szeroką dłonią w stół: — „Tak jest, pal djabli! bierz ją, jeśli ci się podoba!” — poczem usiadł ciężko, podsunąwszy stołek dziewczynie.

W sercu Piotra na chwilę zamajaczyła błada radość. Istotnie samotny był, jak pies i nie miał do kogo ust otworzyć. Ale radość zgasła w jednej chwili. Jakże zabrać ten cudny kwiat do nędznej chaty pustelnika, którego jedyną towarzyszką była trudna i zażarta walka o byt. Znała przebiegłość duszę ciepłe wspomnienie o tamtej i męka warknęła głucho i wyszczerzyła zęby. Na nic! Nie podobała sercu swojemu, zakłętemu urokiem dośmiertnym. Nie da rady owej tęsknocie śmiertelnej, co się wpiła w duszę i w serce i napojona obficie krwią stała się prosto częścią duszy i serca.

Thomson, obserwując z pod oka Piotra, uśmiechał się ciągle szelmowsko. „Jeśli myślisz, że była moją kochanką, to przysięgam ci na głowę dziecka, że nie”. — Czy była kochanką Thomsona? A cóż jemu do tego? Nie, Piotr ani przez chwilę nie pomyślał o tem. Po prostu nie widział sposobu i potrzeby... Ale najniespodziewaniej w sprawę się wdała sama Alkase. Nie rozumiejąc, co mówią, gdyż rozmawiali po francusku, wyczuła instynktem kobiety niewolnicy, że mówią o niej. Domyślając się raczej, o co chodzi i wiedząc o zamiarze Thomsona uczynienia z niej służebnicy w domu córki, odrazu

zorientowała się, że stanowisko gospodyni w domu samotnego człowieka (a że takim był, poznała odrazu) jest nie tylko lepsze, ale i godniejsze córki jednego z najstarszych szczepów. To też łamaną mową angielską oświadczyła wprost, że jeśli wielki biały myśliwy zechce, to pójdzie za nim do jego wigwamu i będzie mu służyć i pomagać z całej duszy. Spojrzała przytem swemi ogromnemi i wilgotnemi oczami z taką żalną prośbą, że sprawę z miejsca wygrała. Po raz pierwszy serce Piotrowe zachnęło się buntem przeciwko wyłącznemu tyraństwu jednej tęsknoty. Do stu piorunów! — nie zdradzi przecież czarodziejskiego snu miłości, jeśli weźmie do pomocy człowieka i pozbędzie się częściowo tego gniojącego poczu-

cia osamotnienia. O tem, żeby miała być czemś więcej niż towarzyszką pracy i przyjacielem, nie pomyślał ani na chwilę. Byłoby to już nazbyt wielkiem świętokradstwem, wobec tamtej, która przecież była jedynem i wyłącznem zdarzeniem serca. „Dobrze” — zgodził się Piotr — „będziesz karmić mnie i moje reny i będziesz rają w moim wigwamie”. „Sprzedajesz ją czy dajesz”? — zapytał znów po francusku Thomsona.

„Postawisz butelkę „scharry brandy” — odpowiedział śmiejąc się — kobieta wzięta darmo nie przyniesie nic prócz nieszcześcia”. Przyniesiono „brandy” przyczem zmuszono Alkase wypić kieliszek. „Za pomyślność nowej rasy” — żartował Thomson, ale Piotr nie spełnił toastu i tylko dziwnie popatrzył w oczy Thomsona.

Nazajutrz poczynił zakupy na cały rok, przyczem Alkase pomagała mu dzielnie. Wszyscy, którzy go znali, dziwili się, że wyjątkowo oszczędny tym razem porobił mnóstwo sprawunków zgoła zbytecznych. Były tam jakieś wstążki jedwabne, wełniane, barwne materje, sznurki koral i paciorków, igły, nici, a nawet kilka misternych, złotych precjozów. „Człowiek z tamtego brzegu” albo „człowiek z za gór”, jak go nazywano, kupił niewolnicę Thomsona za żonę. Ta wieść gruchnęła po całym wybrzeżu i już wieczorem w tawernie pod „Tańczącą Foką” zgromadziło się całe dobrane towarzystwo, żeby godnie uczcić ten fakt niesłychany

(c. d. n.)



W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

11

ZATRZYMANY ZEGAR

(p o w i e ś ć)

— Po co ty, Femciu, wszystkim przykrości mówisz? — zagaiła po wyjściu Janusza pani Rymyszyna głosem miodowym — Emilka niezdrówia teraz... Nerwy u niej kiepskie... Ot i niepolitycznie wyszło. A jak im raz, drugi nadokuczy, wezmą i na stałe wyjadą. Sama potem żałować będziesz!

— Niema strachu, wróć! — burknęła korpulentna dama. — Jak Romaniszki Janusz w karty przepuści, albo i gorzej, wróć na moje podwórko! Do kochanej cioteczki wróć, która pieniądze ma i pewnie im cały majątek zapisał!

— Taki ty racji nie masz! — ciągnęła niezbita z tropu „ciocia Józia” — Po co te swary w rodzinie, te wymawiania... Acan się przez to nie znajdzie przecież...

Miała specjalny dar doprowadzenia swej starej kuzynki do pasji. Już ciocia Eufemja otworzyła usta, by obraźliwą jakąś wyrazić uwagę, gdy do jadalni wpaść, jak bomba, Adaś, wołając, że Acan się znalazł.

Wypatrzył go niedaleko domu pan Dziechciński. Mops nie władał tylnemi łapami i wygląd miał nader oplakany. Ciocia Eufemja

rzuciła się ratować ulubienca, klnąc na czem świat stoi, całą służbę dworską.

— Krzyż mu napewno przełamali polanem jakim! — dowodziła, ukłękając pśa na kanapie i próbując palcami, czy grzbiet ma cały. Acan pisnął, a następnie zawarczał, ukazując swoje ohydne, żółte ze starości zębiska.

— Cicho, piesku, — ozwała się łagodnie — ja cię wyleczę, biedaku...

— Pójdź, Krysienko, zajrzymy do mamusi... — szepnęła mi na ucho Balbina, korzystając z sytuacji.

Wzięła mnie za rękę i wyszliśmy cicho z bawialni, zostawiając starą damę w czułem sam na sam z faworytem.

— Mamusi! Acan się znalazł! — wykrzyknęłam jednym tchem wielką nowinę.

— A jakże, znalazło się psisko. Ale też było, paniuńciu, co słuchać! O mało mię... Chryste Panie! krzyknęła nagle i podbiegła do łóżka. Mama leżała w zwykłej pozycji, oparta o stos poduszek, ale miała jakiś dziwny, szary cień na twarzy: usta jej raz po raz otwierały się i zamykały, jakby nie mogła powietrza uchwycić. Powieki półprzymknięte drgały co chwila, ukazując źrenice bez blasku.

— Paniuńcia moja... O Jezul! — jęknęła Balbina, chwytając obie jej ręce, rozrzucane na kołdrze. — Heluško złota... Ooo...

Nagle obracając się ku mnie, — krzyknęła:

— Leć, Krysiu, zawołaj panią Emilkę, panią starszą, wszystkich, Powiedz, że z mamą źle...

Wpadłam, jak burza, do pokoju Emilki.

— Z mamą źle... — powtórzyłam słowa Balbiny. Emilka cisnęła w kąt ręcznik, którym właśnie przecierała zaczerwienione od płaczu powieki:

— Co ty pleciesz? — szepnęła — Skąd wiesz?

— Z mamą źle... Balbina przysłała mię tutaj... O, Emilciu, mama usnęła i tak dziwnie chrapie przez sen...

Na progu stała Balbina w przekrzywionym fansoniku i nie patrząc wcale w mą stronę, rzekła do Emilki zduszonym, gardłowym głosem.

— To już trzeba zaraz do proboszcza... Natychmiast!

W całym domu wszczął się zamęt. Biegano tam i z powrotem, szukano jakichś kluczy, wysyłano konie po doktora z miasteczka, a drugą parę po księdza. Ciotka Eufemja rozstała się nawet z mopsem, spowitym w bandażę i przyszała, gderząc: „Zwarjowałaś, Balbino? Skąd tak nagle...“ Ale spojrzawszy w twarz mojej mamy urwała w pół zdania i siadła ciężko w fotelu:

— No tak — mruknęła — no, tak...

Już nie pamiętam, co działo się dalej. Tłukłam się po pokojach, po korytarzach, czepiałam się sukni Emilki, to znowu ciągnęłam za fartuch Balbinę, która gdzieś biegła, z kluczami od apteczki w rękę.

— At, — krzyknęła na mnie zniecierpliwionym głosem, nie widzisz, że czasu nie mam? Płaczę się to pod nogami i tylko przeszkadza!...

Stałam, jak wryta. Było to na progu ciemnej bawialni. Zdumiona, oszołomiona niesłychanym postępkami Balbiny, wsunęłam się do tej bawialni i stałam, wsparta plecami o kanapę ciotki Eufemji. Trzęsłam się, jak w febrze. Cały dom rozbrzmiewał odgłosami kroków, stukaniem otwieranych i zamykanych drzwi, lecz bicie mego własnego serca głużyło wszystko. Nawpół przytomnie nadsłuchiwałam, co to za turkot słycać przed gankiem. Potem dostrzegłam przez szybę sylwetkę starego proboszcza. Niósł w rękach białe zawiniątko i szybko wszedł do przedpokoju.

W domu wszystko ucichło nagle. Mały dzwoneczek dzwonił „dyń dyń“, mały, srebrny dzwoneczek, o którym wiedziałam, że dzwoni wtedy, gdy ksądz jedzie z Panem Bogiem do umierających...

W bawialni stawało się coraz ciemniej, prawie czarno. Zaczęłam się nagle bać, straszliwie bać tej ciemności, tej dziwnej ciszy w domu. Runęłam całym ciałem na poduszki w rogu kanapy i wtuliłam w nie głowę, łkając spazmatycznie. Gdy wreszcie przyszedł nieco do siebie, w pobliżu uchylonych drzwi słycać było głośną rozmowę:

— Zawsze to samo! — huczał ksiądz Urbanowicz potężnym swoim głosem — Szkoda, że jeszcze później po mnie nie przysłano!

— Nie zwracałby głowy ksiądz dobrodzie! Kto z nas mógł przypuszczać, że właśnie dziś... — odpowiadała gniewnie ciotka Klimontowska.

— E, przypuszczać można było od dawna, — wtrącił trzeci, nieznamy głos. — Przecież ona dawno płuc nie ma. Mówiłem...

— Mówiłeś doktor, że powinna umrzeć rok temu, a ona żyła sobie, na złość pańskiej mądrej nauce. Wyglądała dziś rano tak samo, jak przed miesiącem, jeśli nie lepiej, bo od paru dni była rzeźwiejsza. Wy wszyscy lekarze ogromnie mądrzy jesteście, ale po niewczasie...

— No no, — mitygował proboszcz zirytowaną jejmość — nieostowna chwila na takie porachunki. Bogu pani podziękuj, że zdążyłem jeszcze chorej udzielić Najświętszych Sakramentów, choć lepiej byłoby, powtarzam, lepiej byłoby odbyć spowiedź, jak należy...

Kroki poczęły się oddalać, głosy przycichły. Usłyszałam w przedpokoju charakterystyczny tupot: to ksiądz Urbonawicz wsuwał buty w wysokie kalosze. Zerwałam się z kanapy i wbiegłam pędem do sieni. Ciotka Eufemja zamykała właśnie drzwi za proboszczem. Wsunęła nieodłączną laskę pod pachę i mocowała się z kluczem, sapiąc przytem, jak lokomotywa. Skończywszy, obróciła się ku mnie i ciężką rękę oparła mi na ramieniu:

— Pójdź pożegnać się z matką, — rzekła głosem, jakiego nigdy jeszcze u niej nie słycałam. — Ostatni czas...

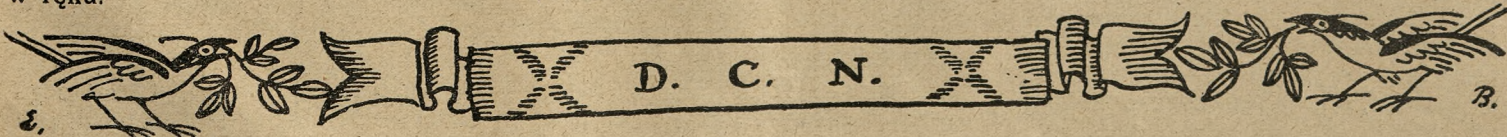
XVI

W wigilię świętego Marcina spadł pierwszy śnieg. Od wczesnego rana gęste, duże płatki sypały się z ołowianego nieba. Wiatr ustał prawie zupełnie, było cicho, sennie i coraz bardziej biało. Ziemia w skupieniu zdała się witać pierwszych zwiastunów zimy.

Około południa już tylko gdzieniegdzie sterczała grudka zoranej roli; konary drzew drzemały pod śnieżnym płaszczykiem, domy przysiadły, skuliły się pod białą pierzyną dachów, każdy kołek z krzywych opłotków stał dumnie we wiasnej czapie, nasiunętej głęboko na łeb omszały. Nagle rozdarła się opona z chmur: poczęły uciekać, rozpięzchać się bezładnie, jakby w popłochu przed majestatem słońca, które wyjrzało przez pierwsze błękitne okienko, najwidoczniej w celu przekonania się, czy świat już dostatecznie wypiękniał.

Jak tu utrzymać dzieci w ciasnej izbie, kiedy za oknem dzieją się takie cudy! Małeństwa z mojego oddziału tęsknie i z tajoną zazdrością patrzyły na gromadkę swych rówieśników, których cały rój wysypał się przed szkołę i literalnie tarzał się w śniegu. W mgnieniu oka rzewna historia o stopce Królowej Jadwigi straciła cały swój czar. Ach, wybiec, własnymi stopkami ugrzęznąć w miękiej, iskrzącej bieli — odcisnąć własne ślady grubych, podkutych trzewików na śniegu — oto jakie marzenia czytałam wyraźnie we wszystkich oczach rozbieganych i nieuważnych. Nie miałam serca pozbawić dzieci tej radości, jaką daje pierwszy śnieg. Złożyłam książkę, w której zgasł i poczerniał tak nagle barwny konterfekt miłosiernej królowej i powiedziałam dzieciom:

(c. d. n.)



DR. WACŁAW LIPIŃSKI

Księżna Anna Jabłonowska, wojewodzina braclawska

(Dokończenie)



Reformy księżnej Anny Jabłonowskiej, wojewodziny braclawskiej, reformy na tak wielką i wszechstronną skalę podjęte, nie mogły, rzecz prosta, ująć uwagi współczesności, choćby z tego względu, że były odosobnione. Zdarzały się coprawda w tym okresie nieraz dość częste próby jednostek zreformowania stosunków, panujących w ich wsiach — lecz nigdzie nie były przeprowadzone tak wszechstronnie, z tak głęboką myślą społeczną.

To też dobra księżnej opisują, zwiedzają, oglądają. Już w pierwszym dziesiątku lat prac księżnej pojawia się w Gdańsku dzieło niemieckie, opisujące reformy księżnej na polu rolnictwa, głównie ekonomicznym ich podstawom poświęcone, a publikacja siemiatycka „Ustawy dla dóbr moich rządów“ rozchwytniane w niesłychanie krótkim czasie świadczyły, jak wielkim zaciekawieniem i zainteresowaniem cieszyły się reformy księżnej.

„Wszystkim chłopom, mieszczanom
[tego losu życzę,
Jaki mają Wysokie, Kock i Siemiaty-
[tycze“

pisze w jednym ze swych utworów ks. biskup Krasicki, który niejednokrotnie w swej działalności pisarskiej wspomina o reformach księżnej.

Zainteresowanie, poświadczane przez tak szybkie wykupienie „Ustaw“ rzecz prosta, choć rozbudzone było w szerokich masach szlacheckiego społeczeństwa, jednak najbardziej się ujawnia w podziwie dla prac księżnej przez najdostojniejszych wówczas ludzi. Z konieczności w tej sferze wyższej, wielkopańskiej, magnackiej, z pośród której sama z Sapiehów księżna Jabłonowska pochodziła, to zainteresowanie było żywsze. Magnaci polscy lubowali się w pięknych, szerokich, wielkopańskich gestach, nieraz dla nich poświęcić gotowi byli fortunę całą, postawić dla dziactwa na los cały swój majątek. Zdarzały się tego przykłady niejednokrotnie liczne i temu to przypisać należy ową początkową ciekawość, z jaką środowisko księżnej ogląda jej reformy i jej pracę.

Lecz to zainteresowanie sensacją mijało, gdy ciekawi z bliska przyglądać się poczęli stosunkom w dobrach księżnej panującym, gdy jasno zrozumieli, jaka głęboka myśl temi pracami kieruje i nad nią czuwa. Potem zjeżdżają się do księżnej coraz liczniej, z coraz większym podziwem i szacunkiem. Sam król Stanisław August Poniatowski, szlachetny esteta, myśliciel, niepozbowiony głębokości, acz słaby i bez charakteru człowiek, kilkakrotnie odwiedza Siemiatyckie dobra, żywo się interesując postępami prac księżnej. W r. 1780 w podróży swej do Petersburga zajeżdża do Siemiatycz Józef II, cesarz austriacki, słynny centrodista i biurokrata, wróg samorządów, kultury społecznej, nade wszystko ceniący wolę jednostki, zgóry wszystkim kierującej i z podziwem przyglądając się owocom pracy, budowanej na ludzkim instynkcie społecznym, w dwa lata później, wracając z zachodu, specjalnie tu zajeżdża syn imperatorowej Katarzyny, późniejszy cesarz Paweł i wielu, wielu innych dostojnych i przemożnych gości.

Oglądali tam nietylko rezultaty samych reform księżnej Jabłonowskiej. Ta rozumna, tak nie kobieca kobieta, z namiętnością nie wygasającą jak słomiany ogień, lecz stale się palącą, jak zorza, pracująca przez dziesiątki lat nad żmudnym, nieefektywnym swym ideałem, była pozatem zapaloną zbieraczką, zagorzałą przyrodniczką. Kochała tę ziemię, która piękności tyle wydaje, najszlachetniejszą miłością, zwróconą ku naturze i skarby tej nawet skrzętnie przechowywała. Zbiory księżnej, głównie przyrodnicze, obejmujące świat zwierzęcy, mineralny i roślinny ziem polskich, wspaniała menażerja, działa poświęcone kulturze starożytnej świadczyły o niecodziennie spotykanych zainteresowaniach, a cała jej praca o skali i rozległości jej inteligencji umysłu i bogatego intelektu.



To też do ostatnich chwil jej życia otaczał ją niepowszedni szacunek i cześć współczesnych, pełnych podziwu dla tej niezwykłej kobiety.

Księżna Anna Jabłonowska zmarła 8 marca r. 1801, dożywszy późnej starości, bo lat 73. Wniosła jej rodzina pomnik w Kocku, ale wielki jej umysł i dusza nie znalazły godnych dziedziców w spadkobiercach. Dzieło jej, z takim trudem i mozolem przez lat dziesiątki wznoszone, upadło wkrótce i rozsypało się w gruzy...

* * *

Księżna Anna Jabłonowska jest postacią bardzo mało u nas znaną, bardzo mało znaną wśród polskich kobiet. Była już mowa o tem na początku niniejszego szkicu, iż wpłynęły na tę nieznaną specjalne warunki ostatnich dziesiątek lat naszego życia narodowego, gdzie raczej wzniesić należało płomienny bunt i ukochanie bohaterkich typów i postaci. Lecz dzisiaj, obok tamtych bohaterów, obok postaci drogiej i kochanych, stanąć powinna i księżna Anna Jabłonowska w jednym obok nich szeregu, jako bohaterka pracy i myśli społecznej. Bo jeśli bohaterkim nazywamy indywidualny czyn jednostki, dokonany w odosobnieniu, bez oparcia o wzór towarzyszących, społecznych mu zjawisk, to takim czynem musimy nazwać wielką pracę Anny Jabłonowskiej.

Jej praca była odosobniona. Przeprowadzała ją sama, bez wzorów i przykładów, mozoloną potrzebą serca i siłą swego umysłu, podtrzymywana nieugiętym uporem charakteru, który zakładając rezultaty pracy na długie nieraz lata, nie dawał się jej cieszyć natychmiastowym efektem: Tem większa przeto zasługa, tem doniejszy przykład. Przeto choć reformy księżnej w większości zostały zmarnowane, nie podtrzymane przez dziedziców, choć legły w gruzach i magazyny zbożowe i kasy pożyczkowe i suszarnie księżnej, czy domy dla starców, choć wywieziono jej wspaniałe zbiory na daleką, mroźną północ moskiewską — to jednak pamięć i przykład jej prac, jej reform, jej myśli i czującego serca — został w Polsce na długie lata i świecił przykładem.

KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

5

„Musicie ją kochać, ona tak pragnie być kochaną!“ pisał Edward Fitz Gerald do matki swojej z Douvres. Księżna wysłała po nowożeńców konie. Przyjechali do Londynu 3 go stycznia 1793 roku. Młoda pani oczarowała rodzinę męża. Dobra matka odczuła, że ta śliczna istota zapewni szczęście jej najukochańszemu synowi i równie tkliwem spojrzeniem obejmuje teraz oboje:

„Eddy i Pam, najmiłsze stworzenia pod słońcem!“

Jakże nie zachwycić się, patrząc na tę młodą parę, tak piękną, tak dobraną, tak promieniącą szczęściem! Dwadzieścia dziewięć lat i dziewiętnaście. Edward jest rasowym typem irlandzkiej urody. Niewysoki, ale ma w sobie coś imponującego, choć szczupły, silny i zgrabny. Niedawno jeszcze, z upudrowanemi białą lokami, w koronkowych żabotach ten młody major wyglądał „jak piękna dziewczyna przebrana za oficera“, dziś ciemna „rewolucyjna“ czupryna starszym go czyni, ale z pod czarnych brwi i długich rzęs śmieją się wesołe i chłopięco duże, błękitne oczy, o zielonawym odcieniu morskiej wody, a usta mają wyraz dziecinnej prawie dobroci. Kiedy się zapala, twarz mu się zmienia, z oczu padają błyskawice, z ust słowa jak płomień.

Pamela, „boskie stworzenie,“ o śniewa przedziwną białością cery, zaledwie lekkim okraszona rumieńcem, ciemno kasztanowate, bujne włosy, wijące się w naturalnych puklach otaczają wdzięcznie owalną twarz, oczy śliczne, mimo że niejednakowe w kolorze: jedna źrenica piwna, druga nakrapiana plamkami złoto zielonemi, postać drobna, powiewna, zwinna zyskuje jej miano Sylfidy; ubiór choć wytworny, odznacza się zawsze ogromną prostotą.

„To mało, że piękna — mówią siostry i męża — jest taka przyjemna!“

Ciotka, lady Sarah Lennox, której oczy oglądały niegdyś wszystkie splendory i piękności wielkiego świata, wyzna, „że w życiu nie widziała istoty słodszej, miłszej, powabniejszej od młodej lady Edwardowej.

„Taka dziecinna jeszcze a tyle ma zdrowego rozsądku!“

„Z górnej części twarzy podobna bardzo do biednej Mistress Sheridan, z ust do mojej ukochanej Luizy (zmarłej córki) czuję, że będę ją ubóstwiać.“

„Trudno wyobrazić sobie, że ona ma być córką tego wstrętnego Egalité!“

Pamela, zdaniem lady Sary, nie wygląda nawet na wychowaną pani de Genlis, której chłodny, mieszczański egoizm i pretensjonalność rażą tę prawdziwą „grande dame“.

„Mam nadzieję żeśmy zdążyli na czas jeszcze wyrwać z ręk tej kobiety naszą siostrzeniczkę i że ta „Rusałeczka“ (doprawdy niepodobna do nikogo z śmiertelnych), nie ma nawet pojęcia o chytrłości, podstępach i kłamstwach, któremi jej opiekunka osłania swą konduktą pragnąc, wywyżżyć się nad drugie osoby, od których wcale nie jest lepsza.“

Pamela oczekiwała zetknięcia się z krewnymi męża nie bez pewnej obawy. Biedactwo czuło może wpółświadomie niejasność swej sytuacji poprzedniej. Gdy otwarto jej serdecznie ramiona, „sierotka“ przygarnęła się z entuzjastyczną, choć nieśmiałą zrazu czułością do rodziny ukochanego człowieka. „Nie spodziewałam się, że mnie będziesz kochała!“ — wyzna potem Łucji, siostrze Edwarda, najbardziej bliskiej mu wiekiem i poglądami, — ale teraz wierzę, że mogę ci ufać i masz we mnie serce, oddane na wieki“. Jedynie skąpy i posępny „papa“ Ogilvie krytykuje „płochą Francuzkę“. Z plebejskim ojczymem męża zgodzi się wwniosła dama, lady Henrykowa Fitz Gerald, zawzięta „oranżystka“, drżąca, aby rewolucyjność Edwarda nie poszkodziła w karierze jej mężowi i nieufnie patrząca na bratową, wychowaną w jakobińskim gnieździe“.

* * *

Prastary ród Fitz Geraldów, (wiodący się ponoć od Geraldinich z Florencji) hrabiów na Kildare, oddawna zrósł się z losem Irlandji. Jedni dobywali się mieczem lepszej dla kraju doli, drudzy ugodą.

Tą ostatnią drogą szedł ojciec Edwarda i dziad, który w nagrodę za lojalność wobec Angli, otrzymał od króla tytuł księcia Leinster. Obydwaj, choć umiarkowani i w legalnych ramach, obrońcy praw Irlandji. Edward, rasowy Celt, mający po matce trochę krwi francuskiej w żyłach, wdał się raczej w tych ognistych przodków, którzy głową płacili śmiałe porywy wywalczenia niezawisłości swego kraju, jak Tomasz Fitz Gerald, ścięty w roku 1641 wraz z czterema swoimi stryjami.

Bracia jego szli natomiast drogą oportunistyczną i dosługiwali się wysokich stanowisk. Robert był ministrem upelnomocnionym we Francji przed Rewolucją (Plenipob, zwie go żartobliwie Edward) potem ambasadorem w Portugalji. Najstarszy Karol, dziedzic księstwa Leinster był również jak Edward posłem do parlamentu w Dublinie, uprawiał politykę umiarkowaną i radykalne stanowisko młodszego brata psuło mu nieraz krew.

Właśnie w chwili przybycia młodej pary do Anglii otwarto sesję parlamentu irlandzkiego, więc Edward udał się z młodą żoną do Dublina. Starszy brat zaprosił ich gościnnie do rodzinnego pałacu, Leinster house, wspaniałego gmachu, wznoszącego się w samym środku Dublinu.

W parlamencie rozgrywała się leżąca żywo na sercu Edwardowi sprawa „Białych chłopców“ White Boys, organizacji samoobronczej wśród ludności irlandzkiej, uciskanej przez angielskich sędziów, kolonistów, narzuconych przez rząd. Prawica, „oranżystki“ domagały się rozwiązania i przesładowania tych drużyn, lewica stawiała w ich obronie.

Młody poseł znalazł się wkrótce w zupełnej rozterce z otaczającym go kołem osób z jego sfery, a nawet — najbliższej rodziny,

Unikał — o ile mógł — poza areną parlamentarną sporów. Był taki szczęśliwy nie chciał psuć sobie i żonie tych pierwszych chwil na ziemi rodzinnej. Gdy sam nie miał czasu na zabawy, posyłał z krewnymi żonę na bale, a wpadał choć na chwilę, by popatrzeć jak ona tańczy. „Chciałbym żeby

mama zobaczyła Pamelę w tańcu — może, zachwyciłaby się. Ona tańczy całym sercem i całą duszą, wszystkim się podoba i wszyscy ją lubią“.

Łudził się niepoprawny optymi-
sta. Siostra jego, Zofja, choć
zdaleka, lepiej wie, co mówią
„zacne dublińskie damy“ o jej
bratowej i martwi się tem szcze-
rze.

„Zazdroszczą jej urody i talen-
tów i wymyślają o niej rzeczy
okropne...“

„Szczęściem Pamela, choć takie
dziecko z niej czasem, jest dość
przenikliwa i gdy potrzeba, potrafi
z góry zmierzyć okiem te wstrętne
kumoszki“.

Biedna Pamela źle trafiła z chwi-
lą swego debiutu w świecie du-
blińskim.

20 stycznia ścięto w Paryżu kró-
la Ludwika XVI, a Filip Orleański,
stryjechny brat nieszczyśnego mo-
narchy był jednym z tych, co bez
przekonania, a myśląc, że tem
własną głowę ocalą, głosowali za
śmiercią. Można sobie wystawić,
jakiem okiem arystokracja legity-
mistyczna spoglądała na domnie-
maną córkę renegata Egalite!

W dodatku cudzoziemka razila
nie tylko zachowaniem się, ale na-
wet szczegółami toalety. Łucja
pisze do Zofji „Lady Henrykowa
opowiada, że Edwardowa poszła
z nią na bal w czarnej sukni, nie
z powodu żałoby, ale tak, z fan-
tazji, w dodatku miała czarne
pończochy, a przytem różową
wstążkę we włosach. Możecie so-
bie wyobrazić, jakie miny zrobiły
dublińskie paniel Biedna Pamela
odczuła to, wróciła prędko do
domu i rozsuwając firanki łóżka
Edwarda, który się już położył,
zawołała: „Edwardzie, już nigdy
nie pójdę na ball Ludzie są tu
tacy niegrzeczni!“

„Kochane biedactwo, zdaje mi
się, że ją widzę i słyszę!“

Ale mniejsza o świat, gdy mło-
dzi czują się bezgranicznie szczęś-
liwi w swoich czterech ścianach:
„Tak nam dobrze razem — pisze
Edward do matki — że gwarzy-
my od rana, dzień mija, a my na nic
czasu nie mamy!“

Jaka radość gdy z nadejściem
wiosny mogą wyjechać do ślicz-
nego ustronia: willi księżnej matki
nazwanej Frescati, położonej nad
morzem.

„Jesteśmy od wczoraj wieczora
i czujemy się tacy szczęśliwi w
ten cudny, wiosenny poranek!
Siedzimy w małej bibliotece, okna
są otwarte, słuchamy śpiewu
ptaków. Pamela poukładała kwia-
ty w żardinierkach, sześć doni-
czek ślicznych aurykuł, teraz

usiadła do krosien i haftuje,
a ja piszę do mojej kochanej
matki. Twój list, mamó, do
mojej żony leży przedemną, mo-
żesz zatem osądzić, jak bardzo
wdzięczny ci jestem i jak cię
kocham. (c. n. d.)

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



ANGIELKA O POLSCE

Znana przeciwniczka polityczna
Lloyda George'a, a przyjaciółka
Polski, lady Asquith, umieszcza w
piśmie angielskim „National Re-
view“ już drugi z kolei artykuł, w
którym stara się zwalczyć uprze-
dzenia do Polski, tak rozpowszech-
nione w jej kręju rodzinnym.

Przedewszystkiem protestuje ona
przeciw pogładowi, jakoby w Pol-
sce panował brak ładu i stosunki
kulturalne różniły się od stosun-
ków europejskich. Zdaniem lady
Asquith, Europa nie zdaje sobie
nawet sprawy z olbrzymiego prze-
wrotu, jaki się dokonał w Polsce.
Państwo polskie powstało o włas-
nych siłach, potrafiło utrzymać się
wobec przemocy wrogów, a dziś,
dzięki patryjotyzmowi i ofiarności
całego społeczeństwa — jest ono
państwem o ustalonych stosunkach
finansowych, państwem, w którym
wszystkie klasy społeczne posta-
wiły sobie za najwyższy cel: dobro
ojczyzny.

Jako prawdziwa kobieta, pod-
kreśliła lady Asquith wielkie zasłu-
gi kobiet polskich, które przez
długie lata niewoli były strażnic-
kami ideałów narodowych, wycho-
wując młode pokolenie w miłości
ojczyzny i pragnieniu wywalczenia
za wszelką cenę wolności kraju.
Zaznacza przytem, że Polacy, wy-
cierpiawszy tyle z powodu ucisku
wrogów, są dziś narodem praw-
rządny, spragnionym pokoju, ni-
komu nie narzucającym swego jar-
zma, a ustrój demokratyczny
Rzeczypospolitej zapewnia wszyst-
kim jej obywatelom całkowitą
równość i swobodę.

Przyjaciółka nasza kończy swój
piękny artykuł uwagą, że zarówno
jak i Polacy mogą się nauczyć
wielu jeszcze rzeczy od Europy,
tak i Zachód powinienby się od
nich uczyć niejednego, przede-
wszystkiem zaś gorącego patryjot-
yzmu i głębokiego umiłowania
wiary swych ojców. Polacy, zda-

niem lady Asquith, są narodem
głęboko religijnym, a przywiązanie
do wiary katolickiej idzie u nich
w parze z miłością ojczyzny.

JUBILEUSZ LINGWISTKI

Parę tygodni temu obchodziła
40 letni jubileusz swej pracy Dr.
Alice Werner, profesorka języków
nowożytnych w Newhampton Col-
lege. Miss Werner jest swego ro-
dzaju unikatem nawet wśród uczo-
nych lingwistów, posiada bowiem
znajomość — przeszło czterdzie-
stu języków.

Poza językami europejskimi,
które zna wszystkie bardzo dokład-
nie zarówno w mowie, jak piśmie,
nie wyłączając języków słowiań-
skich, włada jeszcze uczona An-
gielka 30-ma blisko narzeczami
plemion afrykańskich, Przebywając
dłuższy czas w kolonjach angielskich
na terytorjum Afryki, miss
Werner poświęciła się ze specjal-
nem zamiłowaniem studjom dja-
lektów murzyńskich i posiada w
tym kierunku wiedzę, jakiej, prócz
niej, nie osiągnął żaden europejski
uczony.

Poza swemi badaniami nauko-
wymi, trudniła się jeszcze Dr.
Werner pracą misyjną wśród dzi-
kich plemion afrykańskich. Prze-
łożyła ona Bibliję na kilka narz-
czy murzyńskich, a ponadto zebra-
ła wiele ciekawych bajek, pieśni,
legend murzyńskich i dostarczyła
etnologom bogatego materiału na-
ukowego.

Pomimo swego podeszłego wie-
ku, miss Alicja Werner nie okazu-
je żadnego zmęczenia ani umysł-
owego, ani fizycznego. Podczas
uroczystości jubileuszowych, przy-
jmując wręczane sobie dyplomy
honorowe licznych uczelni angielskich,
oświadczyła, że nie myśli
bynajmniej o przerwaniu pracy nau-
kowej i ma nadzieję, że potrafi
jeszcze przysłużyć się dalszemi ba-
daniami nauce europejskiej. W obec-
nej chwili jest zajęta opracowy-
waniem dużego dzieła o dialektach
afrykańskich.

NESTORKA SPORTSMENEK

Zmarła w Wiedniu przed tygod-
niem pani Walburga Isacescu, nes-
torka sportsmenek europejskich,
pierwsza kobieta, która przed 60-ciu
laty odważyła się uprawiać publi-
cznie sporty: kolarski i pływacki.

Kiedy ukazała się po raz pierw-
szy na ulicach Wiednia w krótkim
kostjumie cyklistki, na bicyklu, ca-
ły Wiedeń był poruszony tem nie-
zwykłym zjawiskiem. Odważna mi-
łośniczka sportu spotkała się z ca-
łym szeregiem przykrości, nie uni-
knęła oszczerstw, zarzutów eks-

centryczności, dziwactwa i t. d. Pomimo to prowadziła dalej wiernie swą rowerową propagandę, aż w końcu opinia publiczna oswoiła się z tem zjawiskiem i za przykładem pani Isacescu poszły, zrazu nieśmiało, potem odważniej, nne miłośniczki sportu.

Przełamawszy w ten sposób pierwsze uprzedzenia, pani Isacescu wzięła się z kolei do innego sportu — mianowicie sztuki pływackiej. Sztuka ta pozostała jej ulubioną rozrywką do końca życia, przyznać też trzeba, że na tem polu osiągnęła sukcesy wprost niebywałe. Wytrzymałość jej fizyczna była doprawdy godną podziwu, potrafiła bowiem w czasie największych chłódów zimowych przebywać po kilka godzin w wodzie, bez szkody dla zdrowia. Słynne były jej wycieczki pływackie w noc Sylwestrową, co roku mianowicie przez kilkanaście lat z rzędu, przebywała ona wpław Dunaj pod Wiedniem, trzymając w zębach płonącą pochodnię, którą następnie wręczała uroczyście zarządowi klubu pływackiego,

Pani Isacescu była też pierwszą kobietą, która otrzymała nagrodę na międzynarodowym konkursie pływackim. Było to w Paryżu w r. 1889. Przepłynęła wówczas całą Sekwanę w obrebie miasta Paryża, a w dwa lata później zdobyła pierwszy rekord światowy, przepłynąwszy Dunaj na przestrzeni 100 kilometrów w 12 godzin.

Zachęcona powodzeniem, próbowała dzielna pływaczka przebyć wpław kanał La Manche, po 9-cio godzinnych jednak wysiłkach musiała zaniechać tego zamiaru.

Do ostatnich lat swego życia okazywała p. Isacescu niezwykłą rzeźkość fizyczną i, mając już lat przeszło 70, nie zaniechała codziennych rzecznych kąpeli nawet w zimie. Dopiero na dwa lata przed śmiercią ciężka choroba zmusiła ją do przerwania ulubionego sportu.

Pogrzeb pierwszej sportsmeski europejskiej odbył się bardzo uroczyście, przy udziale delegacji licznych związków sportowych, których zmarła była członkinią honorową.

KATASTROFA LOTNICZA PRZY- CZYŃĄ CUDOWNEGO ULECZENIA

Pisma angielskie donoszą o niezwykłym wypadku cudownego odzyskania słuchu, spowodowanego katastrofą lotniczą. Nie,aka pani Menz, która straciła słuch przed wielu laty i — zdaniem lekarzy —

na zawsze, odbywała niedawno podróż statkiem lotniczym, pasażerskim. W drodze maszyna samolotu uległa zepsuciu i aparat poczał spadać gwałtownie z wysokości 600 metrów. Dzięki jednak przytomności umysłu pilota do katastrofy nie doszło, udało mu się bowiem zahamować aparat tuż nad samą ziemią.

Wstrząśnienie jednak, jakiemu uległa pani Menz, wywarło na nią wpływ tak zbawienny, że po szczęśliwym wylądowaniu przekonała się, iż odzyskała słuch! Lekarze przypuszczają, iż cudowne to zaiste uzdrowienie okaże się trwałe.

ŁZY — ŚRODKIEM LECZNICZYM

Lekarz duński, prof. Linbal, doszedł do przeświadczenia, że łzy są środkiem zapobiegawczym przeciwko chorobie. Twierdzi on, że kobiety zapadają daleko rzadziej od mężczyzn na choroby zakaźne, a przyczyną tego jest, że niewiasty naogół częściej płaczą, niż mężczyźni.

„Łzy — mówi Dr. Linbal — uważane dotychczas za objaw słabości niewiasty, są, przeciwnie, gwarancją zdrowia i dowodem, że organizm kobiety posiada silniejszy instynkt samozachowawczy. Łzy przynoszą ze sobą nie tylko ulgę w cierpieniu i pożądaną reakcję przy nadmiarze wzruszeń moralnych: zawierają się w nich także antitoksyny przeciwko wielu bakterjom chorobotwórczym. Pozwólmy więc płakać kobietom: mądra matka-natura wie, dlaczego dała im skłonność do płaczu.“



OBRAZKI Z ŻYCIA

W WAGONIE

Przychodzę na godzinę przed odejściem pociągu, jak rok, dwa, trzy lata temu, kiedy z Warszawy do Krakowa jechało się stojący po dwanaście, piętnaście osób w przedziale.

Pociąg pusty.

— Niema obawy o miejsca siedzące. Ruch bardzo mały — objaśnia numerowy.

W drugiej klasie już jeden pan. Mina szlagona. Spalony. Rękawiczki na rękach.

Dawniej — pierwsza klasa, nocą śleping. Dziś — skromny kącik w pół demokratycznym przedziale.

Kłania mi się grzecznie i pyta:

— Czy nie zechciałaby pani zwrócić uwagi na moje miejsce, żeby ktoś nie usiadł i.. na moją walizkę, żeby ktoś nie uznał jej za swoją?... Chciałbym wyjść — kupić kilka książek...

O, jakżeż jestem dumna ze szlagona nuwopowra, który popiera literaturę rodzimą!..

— Ależ z największą chęcią.. może pan być spokojny...

Jak lwica, bronię miejsca pod oknem z prawej strony przed młodą parą, która wchodzi po chwili.

Też pewnie szlagoni — bije w oczy. Też — rok temu — pierwsza klasa i śleping nocą.

Rozkładają się z manatkami po lewej stronie.

— Małżeństwo? — myślę. — Chyba nie. Ani się czują, ani sprzecają...

— Czy prędko pociąg odchodzi? — pyta młoda blondynka z rozdzielonemi na środku głowy, gładko przyczesanemi włosami i z obowiązującym pejsikiem nad każdym uchem, w białej, wyciętej bluzce i granatowej, karbowanej trochę, troszeczkę za kolana spódnice.

Towarzysz — ładny, spalony pan o dużych, szafirowych oczach, w rękawiczkach na rękach (dama — bez) patrzy na zegarek.

Oh, dopiero za pół godziny.

— No, to wyjdź jeszcze i kup mi „Przygodę“ Jacka Londona. Bardzo ładna książka. Tak ją chwala. Tatuś bardzo chce to przeczytać. Ucieszy się, jak przywiozę. Podobno nie droga — złoty z czemś...

Pan o szafirowych oczach wyskakuje z wagonu.

— No, i ci popierają literaturę... Ale — dlaczego nie rodzimą?... Dlaczego tłumaczenia?... Czemu nie „Przedwiośnie“, „Miasto mojej matki“?!. Czemu nie poezję „Czartaków“ — Zegadłowicza, Kozikowskiego „Wymarsz świerszczów“? — Może to już czytali?...

Pan od młodej pani wraca z dwiema pomarańczami i książką.

Blondynka o gładko przyczesanych włosach i wystających cokolwiek przednich ząbkach i wilgotnych, różowych wargach zabiera się z pasją do rozcinania kartek.

Myślę ciągle:

Małżeństwo — nie małżeństwo?...

Naraz szlagon w binoklach, który zawierzył mi swoje miejsce i — walizkę, wraca z paką książek — pięć czy sześć w rękę. Wszystkie jednakowego formatu. Jedno snadź wydanie.

— Ach, to sąsiad też dzisiaj?... Czy wprost do siebie?... Długo w Warszawie?... Ja zostawiłem tu żonę z dzieckiem na parę tygodni — chodzą do doktora. — Odwożę siostrę. Zosiu, ... pan X...

Powitanie.

— O, widzę, sąsiad z całą masą książek?...

— A tak. Wybrałem ostatnie rzeczy Jacka Londona. Mam wszystkie dawniejsze w domu — już cała biblioteka. Chcę wytworzyć sobie sąd o całokształcie jego twórczości. Ciekawy autor. Bardzo, bardzo mnie interesuje...

— Ja też przepadam za nim. A mój ojciec — ginie, poprostu ginie. Właśnie prosiłem brata, żeby mi kupił ostatnią jego książkę...

— Co takiego?... Czy nie „Zew krwi“?

— No, to już czytaliśmy. Wspaniale. Ten pies Bernard, który dostaje się do przedsięwzięcia, żeby rozwozić złoto, potem — ucieka i wraca na czele bandy dzikich zbuntowanych psów... Co za znajomość duszy zwierzęcej, co za mistrzostwo w ujęciu szczegółów i stworzenie całokształtu... Niczego podobnego niema w naszej literaturze.

— A państwo nie czytali — zabieram głos — obrazków zwierzęcych Dygasińskiego, Barłkiewicza, Małaczewskiego?... Ta historia o Białym Niedźwiedziu — to przecież czarująca. A „Koł na wzgórzu“ — takie tragiczne — dusza płacze... Wyszedł też niedawno „Burek“ Jana Wiktora, tak samo, jak ów Bernard Jacka Londona do taczek zaprzęgnięty i później zbuntowany. Ciekawe całe psie społeczeństwo. — Wychodziły w pismach śliczne sylwetki zwierzęce Wielopolskiej i Nałkowskiej.

Nic z tego nie znali. Dygasiński przeczął. Wtedy, kiedy pisał, świat zwierzęcy i egzotyka nie były w modzie. Małaczewski... Coś wychodziło w „Tygodniku Ilustrowanym“ ale nikt nie pamiętał do brze. O Bartkiewiczu coś słyszano, ale nie wiele. Wielopolska — wiedzą o niej tylko, że wojuje z całym światem. Nałkowska — w zeszłym roku „Romans Teresy Henert“ — coś powojennego...

— Algorję zwierzęcą napisał ostatniemi czasy Reymont — cała książka — „Bunt“ — Zachwalona, bo to laureat, ale...

Małe skrzywienie warg i nosa pana w binoklach, najwięcej „lettre“ z całego towarzystwa, dopowiedziało resztę. Zabrał się z namaszczeniem do rozcinięcia kartek pierwszego z brzegu tomu kupionych książek.

Rozmowa przeszła na temat — czy Jack London jest typem autora powojennego, czy przedwojennego, czy pozawojennego?

Trzy osoby, trzy zdania.

— Ja bym uważała go za powojennego, bo starzy ludzie — no, nie tacy, jak mój

tataś, który jest w sile wieku i interesuje się wszystkim, — nie wiedzą nic o nim — zaopiniowała osoba w granatowej, karbowanej spodniczce i białej bluzce z dekoltem.

Czwarty nuwopowr wszedł naraz do wagonu — już bez Jacka Londona.

Zaspał. O mało się nie spóźnił, bo — po teatrze — z całą paczką knajpowali do rana.

Teatr.

— Na czym pan był? — Czy nie na Leszczyńskim? — Ja nie opuszczam ani jednej sztuki z nim.. Uwielbiam go... Wspaniały w roli...

Pociąg ruszył. Nie dosłyszałam. w jakim wcieleniu składała mu hołd panienska ze wsi o ponętnych wargach wilgoćnych i lekko wystających przednich ząbkach.

Dalsze wyrazy krzyżowały się, wymijały, urywały w połowie i ginęły, rzucane z dwóch przeciwnych ławek przez czterech rozmówców. Dolatywały jakieś pojedyncze, źle spojone zdania.

Susza w maju. Brak paszy. Jak wyżyć bydło? — Truskawki zginęły w połowie. A buraki, kapusta? — Zwalowało się je — dokumentnie — ale — to półśrodki. Deszcz w końcu maja... żeby choć jeden dzień... A w Płockiem gdzieś spadły grady. Jeden majątek nie zabezpieczony. Straty. Pani miała jechać do Krynicy, potem do Francji — nie pojedzie. Drugi — pana posła na Sejm — od szeregu lat asekurowany — w tym roku po raz pierwszy nie opłaci raty — przepadło. Wszystkie zasiewy zniszczone. Młode żyto — już dobrze wybujałe — leży. W Poznańskim pszenica — ta chluba Wielkopolski — od korzenia porażona jakąś dziwną, niezbadaną jeszcze chorobą. Okropnie! — A w polityce — źle, coraz gorzej. Francja już z Anglią — sprzedadzą nas. — Korytarz Gdański — tyle pieniędzy w Gdynię — pójdzie na marne.

* * *

Lokomotywa sapała. Koła wagonu warczały, sunąc gładko po tobrze — jak zauważył jeden ze szlagonów — po dobrze utrzymanym torze kolejowym. Słońce przypiekało. Rozmowa leniwiła. Jeszcze usiłował ją podtrzymać pan o szafirowych oczach, ale ostatecznie — po dłuższym postojem na jakiejś stacji, gdzie pokrzepiono się mlekiem i czereśniami, — wszyscy umilkli. Sen zmorzył najpierw panienkę, w granatowej spodniczce, potem pana, który kupił sześć tomów Jacka Londona, a w końcu po kolei każdego. al.

Z TEATRÓW

TEATR IM. BOGUSŁAWSKIEGO

„Żołnierz Królowej Madagaskaru“ — Komedjo-farsa w 3-ach [aktach] Stanisława Dobrzańskiego. Reżyser Jan Kochanowicz.

Na komedję Stanisława Dobrzańskiego warto pójść — by się przekonać o wielkiej prawdzie, chlubnie zresztą o inteligencji stołecznej świadczącej. Oto, chcąc postawić teatr pod względem finansowym — dykcja teatru wyrzekła się repertuaru w wielkim stylu, zerwała z piękną tradycją z okresu miesięcy zimowych — i zesłała na repertuar „lekki“, łatwy — repertuar, który rzekomo popłaca. Słowem, zastąpiło Szekspira — Dobrzańskim, Opowieść zimową — Żołnierzem Królowej Madagaskaru Rachuby zawiodły. Jakże ponuro świeci teatr pustkami! Sceną Teatru Bogusławskiego interesowała się myśląca część publiczności warszawskiej — to też nic dziwnego, że nowy repertuar nie pociągnął dawnych bywalców teatralnych. Ci zaś, którzy chodzą na tłuste farsy i dramatyczne komedje nie pójda zobaczyć „Żołnierza“, ponieważ zbyt traci myszką. Słowem, i tak źle, i tak nie dobrzel

W każdym razie lepszy już był deficyt z wielkim repertuarem, niż deficyt bez repertuaru.

Warszawa oglądała i ogląda wiele marnych i słabych komedji, fars i komejofars, mamy tego zawsze dużo do wyboru importowanych i rodzimego chowu.

Żołnierz Królowej nie należy ani do najgorszych — ani do najgłupszych, przeciwnie! ma kilka dobrych mementów i trochę humoru w perypetjach poczciwego Mazurkiewicza, który wpadł mimo woli w wir życia zakulisowego, ale... teatr im. Bogusławskiego miał świetną opinię i pracę jego brano — jak dotąd — zupełnie serio i poważnie,

Książki i czasopisma nadesłane

Struszkiewicz Walery. — „O konieczności oszczędzania“. Wyd. tygodnika „Oszczędność“.

Bełcikowski Jan. — „O konkordacie Polski z Rzymem“. Nakład autora.

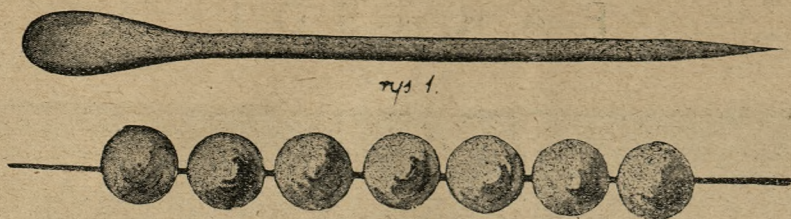
* * *

Nr 1-szy miesięcznika „Czerwony Krzyż“ (wydawnictwo P. C. K. w Warszawie), zawiera treść następującą: artykuł redakcyjny „Duch Czerwonego Krzyża“, dział: sanitarno wojskowy, urzędowy i bieżący, sprawozdanie z działalności „Czerwonego Krzyża“ zagranicą, dział literacki: „Na wolną chwilę“ i t. d.

Zeszyt ozdobiony jest całym szeregiem ilustracji. Całość zajmująca i estetyczna



ROBOTY RĘCZNE



rys. 1.



rys. 2.



rys. 3.

Niejedna matka, wyjeżdżając na letnisko, znajduje się w kłopotcie, jak zająć w pożyteczny sposób dziecko, nie skracając jego czasu przebywania na świeżym powietrzu.

Ulubionym zajęciem dzieci na wsi jest lepienie babek z piasku. Ten naturalny popęd, odpowiednio wyzyskany i pokierowany może stać się doskonałym środkiem pedagogicznym. Myślę o lepieniu z gliny. Nie chodzi tu oczywiście o jakieś stałe, systematyczne zajęcia, chodzi tylko o to, że przez odpowiednie dobranie tematu, można zabawę urozmaicić i zrobić ją bardziej celową. Z jednej więc strony taka zabawa może stać się

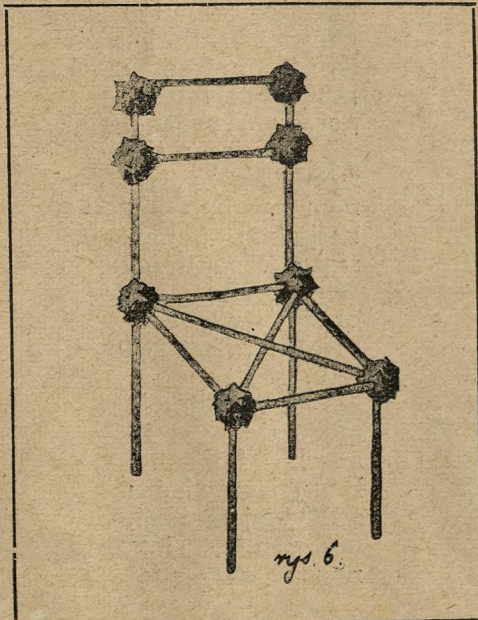
Do zbijania, jak wogóle do całej roboty, wody używać nie należy. W razie, gdyby glina była zbyt sucha, zawijamy ją jeszcze w wilgotną ściereczkę i zostawiamy na dobę, poczem glina stanie się dostatecznie wilgotną.

Do roboty potrzebna jest deseczka lub tekturka prostokątna i patyczek z jednego końca płaski, jak łopátka, z drugiego zaokrąglony, jak ołówek (rys. 1.)

Deseczka służy jako podkładka, żeby nie walać gliną stołu, patyczek zaś do wykończania lepionych przedmiotów.

Najłatwiejszą formą do wykonania dla dziecka jest kula. Zalecamy więc dziecku, żeby ulepiło kilka kulek, które po nanizaniu na cienki patyczek lub drucik utworzą sznur koralu (rys. 2).

Z takich kulek dziecko może tworzyć różne kombinacje (rys. 3, piramidka). Można stopniowo podsuwać dziecku różne modele o kształtach możliwie prostych, zbliżonych do kuli, np.: wisienki, rzodkiewki, jabłko, piłkę i t. d. (rys. 4).



rys. 4.

naturalnym przejściem do nauki i pracy systematycznej, z drugiej przyczynia się do wyrobienia ręki i oka, co w przyszłości nigdy dla dziecka zbytecznym nie będzie.

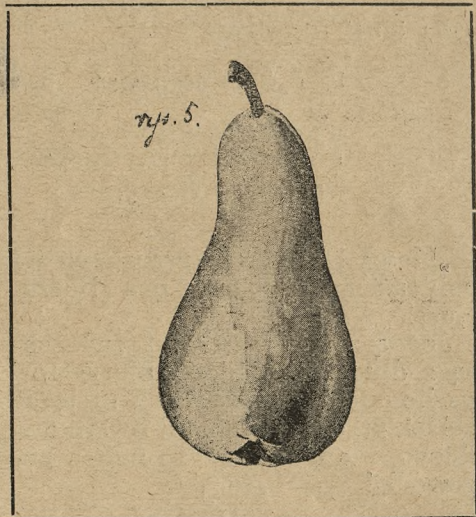
O materiał do lepienia — glinę na wsi jest bardzo łatwo. Trzeba ją tylko umiejętnie przygotować, aby się stała plastyczną, odpowiednią do lepienia, a przede wszystkim, aby nią można się było posługiwać bez używania wody, co ze względu na wiek dzieci, jest bardzo ważne.

Kawał gliny, przeznaczony do lepienia, trzeba dokładnie oczyścić z kamyków, następnie wyrobić jak ciasto, uderzając o gładką deskę, dopóki nie stanie się jednolitą masą. Po wyrobieniu w ten sposób gliny owija się ją w wilgotną ściereczkę i przechowuje w blaszanym pudełku.

Po kilku godzinach glina jest zdatną do użycia.

DLA MAŁYCH DZIECI NA WSI

Później zapoznajemy dziecko z kształtem jajowatym i na tej podstawie dajemy różne modele: śliwkę, gruszkę, ogórek i t. d. (rys. 5). Łodygi dziecko robi z odpowiedniej grubości patyczków. Zaznaczyć musi, że model służyć tylko powinien do przypomnienia dziecku formy dobrze znanego mu przedmiotu. Później zaś należy model schować, żeby dziecko nie kopowało danego przedmiotu, lecz odtwarzało go z pamięci — a po skończonej robocie możemy znów pokazać model, by dać tem dziecku możliwość samemu porównania swej pracy. Oczywiście, to ostatnie ćwiczenie zależy od rozwoju i wieku dziecka.



rys. 5.

Jednocześnie zachęcać trzeba dziecko do lepienia dowolnych przedmiotów zupełnie z pamięci. Należy tylko zwracać uwagę, aby to były przedmioty łatwe do ulepienia, gdyż trudności bardzo zniechęcają dzieci.

W okresie, kiedy kasztany okwitły i zawiązujące się owoce masami spadają z drzew, bardzo dobrym zajęciem dla dziecka jest wyrób mebli dla lalki z patyczków i małych kasztanków. W tym celu należy przygotować odpowiednią ilość cienkich, równej długości patyczków. Mogą to być nawet zużyte zapalki. Zaokrąglone końce wbijamy w kasztanki i w ten sposób spajamy ze sobą patyczki w odpowiednim położeniu.

Załączony rysunek (rys. 6) dokładnie wskazuje sposób wykonania.

P A R A S O L



Parasol noś i przy pogodzie
nie tylko gdy deszcz pada,
choć dzisiaj nie jest to już
w modzie,
parasol noś i przy pogodzie..

I przy najczystszy^{nieb} obwodzie
wypełza chmur gromada!
Parasol noś i przy pogodzie,
nie tylko gdy deszcz pada...

„Mowa jest perłą—prysłowie jej
pobłyskiem“, tak uczy nas Konfu-
cjusz!

Jedną z takich perełek, zwleczoną
z długiego różańca aforyzmów
wschodnich, przełożonych na język
polski, przez Remigjusza Kwiatkow-
skiego, biorę dzisiaj za motto po-
gawędki!

Głęboka mądrość słów przyto-
czonych powyżej, mądrość, która
kieruje kroki nasze na ścieżkę
ostrożności i przewidywania, ude-
rzyć musi każdego, kto je przeczytał!

Inna rzecz, czy zechce skorzystać
z głębokiej treści, czy przystosuje
doświadczenie cudze do czynów
swoich, czy w słonecznej młodości
uwierzy w chmury, co są wiecznym
tłem najjaskrawszego słońca i czy
subtelnym zmysłem przeczucia wie-
dziony, wyczuje barometryczne
drżenie, a z niem uchwyci odpo-
wiedni moment, do zaopatrzenia
się w symboliczny parasol, mimo
promieni, które jeszcze świecą.

Głębię tych wszystkich prawd,
co przyczytały się w dwóch wyżej
przytoczonych strofach, pozostawia-
jąc na boku, na wędkę swej

wyobraźni chwy-
tam jedynie pa-
rasol i o nim,
jego kształcie,
przystosowaniu i
metamorfozie, ja-
ką w ostatnich
przechodził latach,
pomówić pragnę.

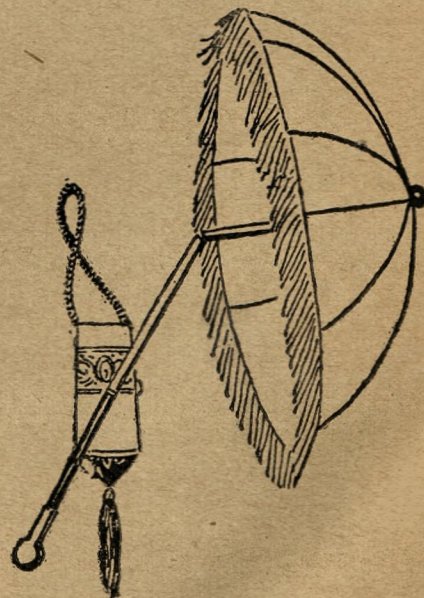
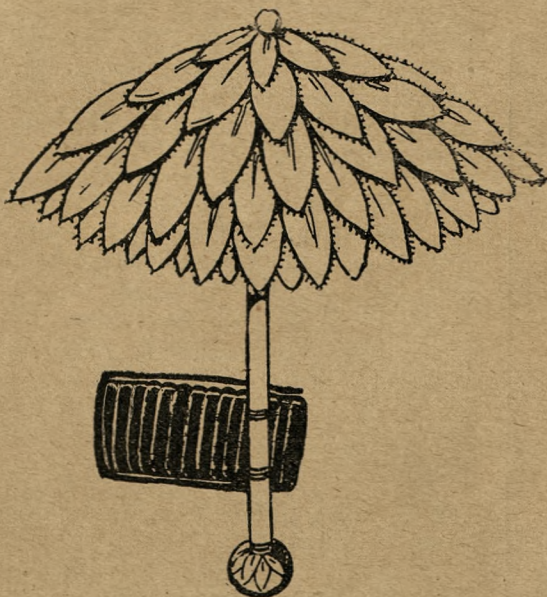
Tegoroczne pa-
rasolki, o mister-
nym wykonaniu
i wielkiej pomy-
słowości są, trze-
ba przyznać, śli-
cznym wykończe-
niem letniej toa-
lety.

Całe z riuszek,
maleńkich i więk-
szych falbanek,
lub kawałków
zwiewnej materji,
w kształt kwiet-
nych wycinanej

liści, dostosowane barwą do ogól-
nego tonu sukni, są niezaprze-
czenie śliczną i ciągnącą oko pla-
mą, tak na plaży jak i wśród zie-
leni lasów, pól i ogrodów.

Parasolka dawna, lekka i smukła,
ściśle zwinięta i spięta, noszona
rączką na dół, o cieniutkim szpi-
czastem zakończeniu, wydaje się
anachronizmem, jeżeli wyjrzy na
nas z wnętrza jakiejś pełnej pa-
miątek szafy, czemś wysoce „przed-
wojennem“, conajmniej, jak kape-
lusze z przed lat dziesięciu, czy piet-
nastu które z taką szczerą zgrozą
oglądamy na dawnych fotografiach!

A jednak jeżeli parasolka była
z pięknego jedwabiu, o kosztownej
i artystycznej rączce, co się daw-
niej niejednokrotnie zdarzało, nie
trzeba mącić jej chwilowego letargu.



Niech czeka, bo wysokim gatunkiem na żąb czasu odporna maluczko, a ujrzy się w chwale i triumfie powracającej fali, do godności panującej wzniesioną.

Im krótsze, bardziej krępe i przysadziste są kształty tej, którą dzisiaj wielbimy, im krócej zwisa na barwnej pętli u ręki naszej zawieszona „ta modna“, im pień, od którego kielich kwiatu swego rozwiera, jest grubszy i bardziej do Madejowej zbliżony pałki, im potworniej patrzy na nas ślepiami wykrzywionego w psim uśmiechu buldoga, sowy, zamyszonego Buddy, wsłuchanego w szept przeszłości Sfinksa, im więcej w niej niezdrowej cudaczności, tem bliższy powrót tej dawnej, lekkiej, smukłej, z cechą artyzmu na swej inkrustowanej, rzeźbionej lub okiem z krwawnika w twarz słońcu, patrzącej, rączcel!

Proszę nie pomawiać mię o konserwatyzm, czytając te słowa.

Jest w nich podłoże wywiadu na temat sezonów najbliższych i doświadczenie, czerpane z lat, co idą!

Dzisiejsze parasolki letnie, strojne i śliczne, nie mają tej wielkiej zalety, aby mogły być używane tak na deszcz, jak i przeciw słońcu. Jakże wyglądałyby te skrzydła podzwrotnikowego motyla, któ-



zbyt jaskrawo. Są one wykonane często w sposób, który pozwala pochyłać sam parasolik, przy nasadzie w dowolne strony, i wtedy są jeszcze praktyczniejsze i wygodniejsze, lekkie i mało ambarasowne, a dla tego chętnie używane w czasie wywczasów letnich, kiedy zwykłym kressem wycieczek i spacerów jest spoczywanie w słońcu, którego rozkoszne promienie bywają jednak zbyt ostre, aby stykać się z nimi bezpośrednio!

Parasoliki takie widywałam przed wojną w pierwszorzędnych lokalach zagranicznych, robione z chińskiego papieru. Rozdawano je na zalanych słońcem tarasach restauracyjnych, a barwne plamy jakimi grały w świetle przedwieczornej godziny, dodawały egzotykcji otoczeniu. Sądzę, że i u nas, wiele pań, wybierając się na skromne, letnie wywczasy, zadowoliliby się z chęcią, takim niedrogim, a ładnym parasolikiem. Na plaży naszej wyglądałyby one niemniej uroczo!

Wykonanie nie zdaje mi się zbyt trudnym i niedostępnym.

Czy nie znajdują się czarodziejskie ręce, które ucieleśniły by rzucaną myśl? W okresie gorącego letniego słońca powodzenie pewnel

W.

re powołano do życia we wnętrzach pierwszorzędnych magazynów, aby ocieniały sobą płatkom róży podobne lica, jeżeli spadnie na nie nie potok, ale zaledwie kropel kilka. Cudna lekkość riusz, falban, ich świeżość i barwa, zamienia się w smutne wspomnienie a na uśmiechnięty buziak, któremu tak ślicznie za tło służyły, zniszczenie ich padnie odbiciem smutku, jaki wcieli się w zrozumienie nikłości kraszy, która nigdy nie jest wieczną.

Jeżeli budżet nasz nie pozwoli na więcej niż jedną parasolkę i musimy zakląć w jeden kształt praktyczność i elegancję, najlepiej wtedy wybrać parasolkę koloru niezbyt ciemnego, a neutralnego, n.p. fioletową, granatową czy zieloną, z jakimś dyskretnym szlaczkiem, która doskonale harmonizować będzie z każdą suknią. Warunek jeden: musi być czysto jedwabna, bo inaczej deszcz spłynie po niej kolorowymi smugami, a na ubraniu naszym pozostawi ślady nie do wywabienia.

Modne są też parasolki maleńkie, kształtem przypominające chińskie parasole, w barwach żywych i zamazanych deseniach. Szeroko rozwarte cieniują słabo i nadają się właściwie bardziej do jednostronnego zasłonięcia twarzy, n. p. na tarasie, czy werandzie, gdzie słońce pada z boku i razi





ROBOTY LUDOWE

HAFTY KASZUBSKIE.

Wdzydze, kolebka haftów kaszubskich, jest to mała wioska, leżąca nad brzegami uroczego jeziora Wdzydzkiego w starostwie Kościerzyńskim na Pomorzu. Wody rozszarpanego na cztery części jeziora otaczają wioskę z trzech stron tak, że tworzy półwysp. Jezioro posiada 6000 mrg. obszaru i należy do największych na Pomorzu. Wdzydze są prastarą osadą słowiańską, nazwa pochodzi od wodzice t. j. synowie wody. Wdzydze, jak wiele sąsiednich wiosek, mają wprawdzie nadzwyczaj malownicze położenie, jednakże z powodu odległości od miasta, kolei i gościńców, są od świata odcięte i nikomu nieznanne.

Losy rzuciły mnie do tego zakątka, gdzie mój mąż był nauczycielem ludowym i, założycielem Muzeum Kaszubskiego.

Urodzona w wiosce kaszubskiej miałam od dzieciństwa styczność z ludem i od młodości podziwiałam i obserwowałam zabytki sztuki ludowej.

W Żukowie, tej historycznej placówce klasztornej, założonej przez Mestwina I dla sióstr Norbertanek,



p. Gulgowska w pracowni

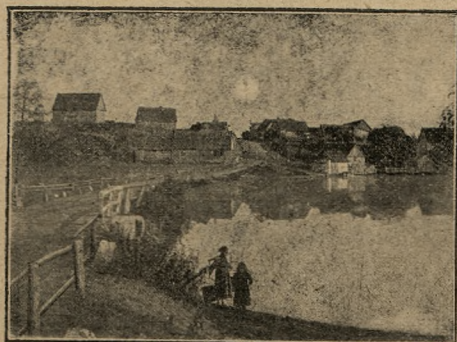
w klasztorze, który zawsze miał charakter polski poznałam wspaniałe zabytki muzealne, bogato i misternie haftowane ornaty i szaty kościelne i tu po raz pierwszy odczułam ważność kultury kaszubskiej.

W Muzeum Kaszubskim do najcenniejszych zbiorów należały czepki kobiece t. zw. złotogłowia, część stroju narodowego. Tłem haftów był przeważnie czarny, niebieski lub czerwony aksamit, rzadziej

plótno lub sukno, haft wykonany bardzo starannie, przeważnie złotymi, a wyjątkowo srebrnymi nićmi, oraz jedwabiem zielonym, czerwonym, brązowym lub żółtym. Haft zwyczajny płaski, podłożony bibułą tworzył deseń wypukły. Jako motyw zdobniczy używane były przeważnie stylizowane tulipany i owoc granatu, które to ozdoby ogólnie są przyjęte przez sztukę ludową kaszubską, a rzadziej natomiast inne kwiaty, jak bławatki i t. p. Nie spotykamy w ozdobach nigdzie figur czysto geometrycznych.

W zestawieniu tych motywów leży pewna swojska oryginalność. Przez zapoznanie się ze zbiorami etnograficznymi nasunęła mi się myśl: Jeżeli lud kaszubski posiadał dawniej tak wybitne zdolności artystyczne, tonie można przypuszczać, że terażniejsza generacja zupełnie te zdolności straciła.

Zewnętrzne zerwanie z tradycją, nie jest jeszcze dowodem wewnętrznej utracenia zdolności przyrodzonych i poczucia artystycznego. Okazało się, że te wrodzone zdolności zatrzymały się najdłużej



Al iei Wdzydze



Motyw kaszubski



Robota siatek na Helu



Motyw kaszubski

tam, gdzie nowoczesna kultura nie zdołała dotrzeć i wszelką pierwotność zagładzić. A były to właśnie okolice nad jeziorem Wdzydzkiem.

We Wdzydzach i okolicy mamy przeważnie małych właścicieli rolnych. Każdy chłop ma swój domek i do tego kawałek gruntu. Ziemia jest piaszczysta i mało urodzajna. W lecie uprawia lud własną rolę i szuka zarobku w rolnictwie. Na zimę wraca do zagrod swoich i tu naturalnie nie znajdując zatrudnienia gnuśnieje, a wynikiem tego bywa rozluźnienie obyczajów.

Przed laty było inaczej. Przemysł ludowy dostarczał pracy. Pod czas cichych wieczorów, przy pięknych, pełnych poezji pieśniach ludowych haftowano, przędzono len, pracowano na krosnach. Przez zaniedbanie przemysłu ludowego najwięcej utraciły dziewczęta. Zapytane, co robią wieczorem, odpowiadały, iż nic, a chcąc się jakby uniewinnić dodawały: „Co mamy robić“.

Wzięłam dziewczęta pod swoją opiekę. Gromadziłam je wieczorami u siebie, opowiadałam bajki, śpiewano piosnki, czytano książki, oglądano obrazki i t. p. Na dłuższy czas nie wystarczyło to dziewczętom. Nasz lud wiejski ma jeszcze za dużo zdrowych sił fizycznych, aby mógł znaleźć zadowolenie tylko w zajęciu umysłowym. Daleko więcej ceni zatrudnienie fizyczne. Są to jeszcze resztki poczucia twórczości, które nie zupełnie zagały. Pokazało się to, gdy przedłożyłam dziewczętom stare okazy sztuki ludowej, przeważnie złotem haftowane czepki. Objaśniłam im rodzaj haftów, polecając wyrób takowych. Teraz okazały się te wszystkie trudności, które było trzeba pokonać. Lud już nie posia-



Stare czepki kaszubskie

dał materiałów, ani narzędzi. Kołowrotki i krosna były zniszczone, lub leżały zaniedbane na strychu. Lnu nie siali, wełnę z owiec sprzedawano surową. Technika tkactwa i przędzenia była jeszcze u starszej generacji znaną, było więc dosyć łatwo kobiety do wyrobów tkackich przyzwyczaić, jeżeli się

im dało odpowiedni materiał, płacąc zaraz za robotę. Główną pobudką do podniesienia twórczości jest natychmiastowy zarobek. Tak samo było przy haftach. Pierwszy zapał był wielki. Lecz gasł prędko, jeżeli go się ciągle nie podniecało. Dopiero wtedy, gdy dziewczęta trudności techniczne pokonały, nastąpiło zamiłowanie do pracy.

Pierwsze kolorowe hafty kaszubskie powstały w r. 1907. Zasadą było, ażeby wyroby odznaczały się doskonałym materiałem i starannym wykonaniem. To są niezbędne właściwości, które wyroby ludowe zachować muszą, ażeby uniknąć konkurencji z wyrobami fabrycznymi.

Właściwym urokiem haftów kaszubskich są ich kolory, nadzwyczaj żywe, zwracające od razu na siebie uwagę. Pole czerwonego maku w słońcu się kąpiące nie może weselej się przedstawiać. Harmonia kolorów składa się z barw: czerwonej, zielonej, niebieskiej, żółtej i czarnej. W stosunkowo krótkim czasie doszły wyroby kaszubskie do takiej doskonałości, że w roku 1909 mogliśmy wziąć udział we wszechświatowej wystawie przemysłu artystycznego w Berlinie, urządzonej przez Lyceum Club.

Tu miały Kaszuby osobny oddział i reprezentowały część przemysłu polskiego. W tym samym roku braлиśmy także udział w wystawie „Pracy Kobiet“ urządzonej przez Komitet Stowarzyszenia Narodowego Kobiet Polskich w Kaliszu, gdzie wyroby zyskały ogólne uznanie i dyplom na złoty medal. Związane na tych wystawach stosunki przyniosły znaczne korzyści. O zbyt artykułów nie było nigdy trudno. Przed wojną w roku 1914 wyszkolonych było w haftach



Hafty kaszubskie



Motyw kaszubski

około 100 dziewcząt z Wdzydz i okolicy, które miały zimową porą zajęcie i poważny zarobek.

Owe prace domowe miały duże wpływy moralne. Dawniej beczynność w czasie zimowym była wprost demoralizująca. Praca, opierająca się na własnej twórczości podnosi wartość życia, życie we wsi staje się przyjemniejsze i przynosi więcej odmiany.

Zapoczątkowaliśmy nietylko haftciarstwo, lecz i inne działy zaczęliśmy w życie wprowadzać, przede wszystkim tkactwo, ażeby dla haftów samodzielnego płótna dostarczyć.

Dla odnowienia starych plecionek z korzeni, wystarczyło małej pobudki. Ten dział pracy prowadzą tylko mężczyźni. Materiału dostarczają lasy, korzenie małych sosen, tak zw. kuźłów. Formy zostały te same: mace, talerze, kubelki. Nabywcy dali im tylko inne przeznaczenie, jako to: koszyki do chleba, podstawki, kosze do papieru.

Daliśmy również garncarzowi wskazówki co do wyrabiania starych form, i odpowiedniego ich zdobienia. Wyroby odstawiało się na wystawy, gdzie znajdowały odbiorców.

Na półwyspie Helu, w Chałupach zaprowadziliśmy pracę siatkową (filet).

Podstawą rozwoju przemysłu ludowego jest zbyt wyrobów. Wytwórca musi mieć nie tylko pewność, że się swoich rzeczy pozbędzie, lecz musi otrzymać także potrzebny materiał, narzędzia i t. p. On nie powinien mieć kłopotu ze sprzedażą. Nie można od niego żądać, żeby brał samodzielnie udział w wystawach. Chętnie pracuje, gdy wie, że po wykonaniu przedmiotu, może go zaraz spieniężyć.

Ponieważ nie mieliśmy z żadnej strony najmniejszego poparcia finan-

sowego, nie wiedzieliśmy, co to są kapitały zakładowe i obrotowe, musiała się sprawa sama przez się utrzymać. Jedyny fundusz zakładowy była to nasza bezinteresowna praca. Wszelkie dochody szły na dalszy rozwój.

Podczas wojny światowej nastąpił pewien zastój i dopiero z początkiem roku 1923 rozpoczęły się dalsze prace na dawniejszych podstawach.

Dziś jednak organizacja przemysłu ludowego jest daleko trudniejsza. Zbyt wyrobów nie jest łatwy, ponieważ są to rzeczy mniej lub więcej luksusowe, bez których się można ostatecznie obyć.

Niemożliwym jest uzyskanie tanich kredytów, co przed wojną było bardzo łatwe. Dawniej zatrudnialiśmy do 150 osób w przemyśle ludowym, dziś można zaledwie 20 — 30 dostarczyć pracy, dla ogólnego braku gotówki. Jeżeli Rząd i społeczeństwo nie przyjdą z pomocą przez udzielenie poparcia i tanich kredytów, to nastąpi zupełny zastój przemysłu ludowego.

Zaintersowanie wyrobami kaszubskimi jest wprawdzie dziś poważne. Doznaliśmy go na wystawach w Poznaniu, w Toruniu, w Warszawie na wystawie „Nasze Morze” i na wystawie „Przeładowej Paryskiej” w kamienicy Baryczków. Poważną część eksponatów, zwłaszcza haftów kaszubskich i ceramiki kaszubskiej wybrał Komitet kwalifikacyjny na Wystawę Paryską. — Z ramienia Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Departamentu Kultury i Sztuki wysłano także wyroby haftów kaszubskich na wystawę do Włoch, — ale to wszystko nie daje dość silnych podstaw materialnych, aby tę pracę rozwinąć.

Nakoniec poruszę jeszcze jedną sprawę: wiele osób pomyśli zapewne, że mamy kolekcję wzorów, które kopuje się na materiały i haftuje podług podanych kolorów.

Otóż zupełnie tak nie jest. Nie mamy żadnych szablonów, żadnych modeli. Jedyną podstawą są zbiory muzealne dawnego przemysłu ludowego, ale i tych rzeczy się nie kopuje i nie przerabia.



Motyw kaszubski



Motyw kaszubski

Jest tu wyzyskana owa zdolność twórcza, która nic nie naśladowe tylko żywo tworzy, a wzory niewidzialne leżą w duszy ludzkiej. Niema nigdy jednego wyrobu, któryby był kopją drugiego. Zawsze powstaje coś nowego i w tem leży właśnie cały urok wyrobów ludowych.

Spotyka mnie nieraz pytanie, czy prowadzę we Wdzydzach szkołę haftu i na to pytanie trudno mi odpowiedzieć. Szkoły, dosłownie, z ławkami, z przyrządami rysunkowymi i t. p. właściwie nie prowadzę, szkołą jest cała wioska i cała okolica.

Dziewczęta schodzą się zimą po południu, dostają robotę, materiały i potrzebne wskazówki, ale niewiedomo kto tu jest właściwie uczniem, a kto nauczycielem, bo jest to wzajemne kształcenie się, wymiana doświadczeń i poglądów.

Największą satysfakcją jest dla mnie to, że zdołałam w dziewczętach wzbudzić zamiłowanie do pracy i osiągnęłam pewnie cel. Jest to w stosunku do całości Kaszub skromnym wysiłkiem. Serce boli, gdy z sąsiednich wiosek, czasem o kilka mil odległych, przychodzą dziewczęta i proszą o materiał do pracy. Nie chodzi im nawet o wielkie zarobki, tylko, żeby mieć jakieś zajęcie podczas długich, zimowych wieczorów. A nie można im pomóc, bo nie ma funduszy na zakup materiału.

Marzeniem moim jest, w każdej wiosce stworzyć warsztaty pracy, gdzie ludzie znajdą zajęcie, a wzajemnie dadzą nam swoje wyroby i podniosą bogactwo kraju.

Ale jeśli ktoś chce naprawdę pracę moją zrozumieć, to musi koniecznie mnie odwiedzić, w moim cichym kaszubskim zakątku.

Teodora Gulowska

Wdzydze p. Stary Bukowiec

Z TEKI MOJEJ BABKI

Obiecałam nauczyć Was, kochane Czytelniczki, jak w możliwie najszybszym czasie, otrzymać wódkę „Starę”. Jest ogólne mniemanie, że starka tylko po długich latach stania w beczułkach po winie węgierskim, w piwnicy, w rachubę może być brana, tymczasem przepis babki mojej dowodzi, że i dawniej znano sposoby przymuszania jej do przedszego zestarzenia się.

Aby doczekać się legalnie staruszki, której powodzenie idzie w odwrotnym do wieku stosunku — trzebaby przedewszystkiem mieć pewność jutra — czas na czekanie i wiarę, że to, co robimy — robimy dla siebie i dla swoich. W dzisiejszych warunkach szalonego tempa życiowego, nie robi się nawet projektów, a cóż dopiero kosztownych zapasów na dłuższą metę. — Jesteśmy w dobie „ersatzów” szczęśliwi, jeżeli choć odrobinę przypominają nam rzeczywistość. — Za przepis z teki mojej babki ręczę, — oceniam go napewno amatorowie i znawcy szlachetnej starki, — a jej lata przymuszone nie obniżą jej wartości. Na starke bierze się dobrą, mocną wódkę 90% pędzoną z żyta — kukurydzy lub pszenicy — nigdy z kartofli. Dla spreparowania jej trzeba dobrze wypalić węgli brzoźowych, koniecznie bez kory — skoro przepalone, przydusić je w garnku nie zalewając wodą — jak wystygną odmuchać, połamać, nałożyć niemi trzecią część dużego gąsiora, zalać wódką, nie zatykając, postawić w pokojowej temperaturze na 3 dni. Następnie zlać, przefiltrować przez szwedzką bibułę i zostawić w spokoju na kilka tygodni. — Po upływie tego czasu przelać wódkę w baryłkę dębową — drzewo to bowiem nadaje smak i kolor starce i trzymać w piwnicy, przelewając co jakiś czas.

Prawidłowo po trzech — czterech latach wódka będzie gotowa. Chcąc przyspieszyć jej dojrzałość, na wsi, zakupuje się baryłkę w nawozie, a po trzech miesiącach największy znawca nie pozna, że stała miesiące, a nie [lata. Będzie tak mocna, że koniecznie będzie rozcieńczenie jej zapomocą wody dystylowanej — lub poprostu dobrej, źródlanej, kilka razy przegotowanej, której wziąć w stosunku litra na cztery litry wódki. W miesiącu, gdzie niema ani miejsca, ani nawozu — starke robi się inaczej. Przygotowawszy węgli brzoźowych jak wyżej, wsypać ich litr na 10 litrów dobrej wódki — dodać dwie pełne garście drobno posiekanych szyszek brzoźowych — zakorkować

gąsior i zostawić w pokojowej temperaturze. Po miesiącu delikatnie zlać, dodać litr dobrego araku, przefiltrować w butelki i zaraz używać. — Tylko wielki znawca, pamiętający dobrze dawne czasy — pozna, że to przymuszana starka.

Ale dosyć już tych wytrawnych wódek — chciałabym dać jeszcze kilka przepisów nalewek i likierów, robionych na podstawie pomarańcz, mających się już ku końcowi. — A więc doskonała nalewka pomarańczowo — wiśniowa. — Litr najlepszego spirytusu, dobrany pół litrem przegotowanej wody nalać na ścięte z dwóch dużych pomarańcz żółte skórki, wrzucić 2 goździki na litr spirytusu i postawić w cieniu na tydzień. Po tygodniu zlać spirytus, dobrać go pół litrem dobrego soku wiśniowego, dokładnie zmieszać, przefiltrować w butelki, a zakorkowawszy mocno, zapomnieć o nim na pół roku. Jeżeli sok był gęsty i dobry, nalewka będzie wyśmienita. Doskonała również jest domowa ratafja, mająca tę wyższość nad innymi nalewkami, że można jej używać w tydzień po zrobieniu. Dwa litry spirytusu — litr dobrego soku wiśniowego dokładnie wymieszać, kłócąc w gąsioru dodać 20 goździków i 30 pestek, potłuczonych z francuskich suszonych śliwek, — postawić w ciepłym miejscu. Po tygodniu przefiltrować jak zwykle i używać.

Ponieważ zawartość starej teki jest poprostu niewyczerpana, a sezon pomarańcz kończy się — szkoda byłoby nie spróbować przepisu na przepyszny, holenderski likier pomarańczowy. Z czterech świeżych pomarańcz skroić same żółte skórki — zalać litrem wyborowego araku, im będzie lepszy, tem likier wyjdzie wykwintniejszy. Postawić w cieniu w temperaturze pokojowej na dwa tygodnie — po upływie których, zrobić syrop z kila i ćwierć cukru z głowy, biorąc wody, ile w niego wsiąknie. Po rozpuszczeniu — zagotować raz prędko — wyszumować i w gorący lać arak scedzony ze skórek. Chcąc mieć go

jeszcze lepszym, na litr araku wlać szklankę syropu ananasowego.

Niezwyczajny, a bardzo oryginalny jest likier z kwiatu lipowego — skoro tylko lipy zakwitną — narwać dużą garść samego kwiatu — zalać szklanką najmocniejszego spirytusu, który postawić w cieniu na cztery dni. Kilo cukru z głowy (warunek niezbędny) zamoczyć w pół litrze wody miękkiej jak się rozpuści, zagotować raz jeden — w gorący syrop wlać trzy szklanki mocnego spirytusu wraz ze szklanką scedzonej nalewki z kwiatu, wymieszać dokładnie, a jak ostygnie, przefiltrować w butelki — będzie niezwyczajny, z miłym zapachem likier.

Następnym razem powiem Wam jak zużytkować inne owoce na nalewki, likiery, wina i chłodzące napoje. Myślę, że nie od rzeczy będzie na zakończenie naszej gawędki podzielić się wskazówkami, zaczerpniętymi z doświadczenia mojej babki a dotyczącymi sposobu obchodzenia się z cukrem przy nalewkach i likierach, aby nie skrzystalizowały się, jak to często się spotyka. Według przepisów należy brać tylko tyle wody, wiele wsiąknie w cukier, ale że nie każdy pozna się na tem, najlepiej przyjąć za normę do nalewek na pół kilo cukru pół litra wody, do likierów na pół kilo cukru ćwierć litra, czyli szklankę wody. Syrop tak jeden, jak drugi zagotowują się raz jeden, szumuje i w gorący wlewa spirytus z daleka od ognia, bacząc bardzo na, to aby nie robić odwrotnie, gdyż nigdy nie byłaby wódka klarowna, ważną również rzeczą jest aby wszelkie pomarańczowe, cytrynowe i mandarynkowe wýtworki zalewać już dobranym wodą i przetrawionym spirytusem, gdyż dobrany po zlanu ze skórek, zmętnieje, jakby był jajkiem zaprawiony i zaledwie po roku wyklaruje się. Pozostaje jeszcze ważna kwestja filtrowania, robota ta jest bardzo żmudną, ale od jej dokładności zależy piękność i czystość wódek. Są dwa sposoby filtrowania zawsze przez duży szklany lejek, albo zakłada się w niego spory kawałek waty i przez niego przelewa z mniejszego oczyszczenia potrzebujące wódki, lub przez szwedzką bibułę, z której kraje się koło wielkości lejka — na jego dno układa się cienkie rożeczki na krzyż, zabezpieczające bibułę od przywierania do ścian lejka. Nalewa się płyn po trochu — w miarę przeciekania dolewa się ciągle — powinna wódka kapać kroplami. Jest to mozolny, wymagający ciągłej uwagi sposób, ale najlepszy i niezawodny. Tak przefiltrowane nalewki i likiery będą jak łąza czyste.



Sezon robienia zapasów się rozpoczyna.

Chociaż na rynku krajowym, a specjalnie warszawskim nigdy nie brak towarów, wszyscy wiemy, że w chwili smażenia konfitur cukier nietylko drożeje, a nawet tygodniami niknie z rynku. Coś analogicznego dzieje się ze słojami i garnkami, drożeją niepomiernie, a nieraz nawet dobrać odpowiednich rozmiarów i gatunków nie sposób. Otóż aby temu zapobiec, każda z gospodyń powinna sobie z góry obmyśleć plan robienia zapasów, obliczyć ich rodzaje i ilości i zakupić potrzebne ilości cukru, octu, korzeni i t. p. ingrediencji potrzebnych do konserw wszelkiego rodzaju. Cukier, kupowany na worki jest znacznie tańszy, nie mówiąc już o tem, że kupując większe ilości na kila przepłacamy moc pieniędzy na torby papierowe. Co do słoje, to należy, przede wszystkim ze wszystkich składów i zakamarków powydobywać dawne garnki i słoje. Pierwsze należy starannie wyparzyć, wyszorować i wysuszyć w gorącym piecu, drugie, wymyć i wysuszyć jak najstaranniej, powywracać dnem do góry, aby kurz się do nich nie dostał. Najstaranniej trzeba osuszać butelki przeznaczone do soków, botwiny, groszku, szczawiu, gdyż najmniejszy ślad wilgoci, pozostałej w butelce, może spowodować fermentację i zupełne zmarnowanie konserwy. Butelki należy myć wysypując do nich garść żwiru, grubej soli, lub drobno pokrajanych obierzyn od kartofli. Gdy szkło jest czyste, butelki starannie wypłukać czystą wodą, przewrócić je szybkami w dół i dać im tak zupełnie wyschnąć. W tym celu należy mieć w każdym domu jakąś ławeczkę lub kuchenny stołek z dużymi jak dwuzłotówki otworami wywierconymi w desce. Butelki ustawione w taki przyrząd po dniach paru radykalnie wysychają. Należy je z lekka pozatykać miękkim papierem lub watą i trzymać gotowe do użytku. Po doprowadzeniu w taki sposób do porządku wszystkich zapasów naczyń należy obliczyć, ile nam brak, i zaraz dokupić. Przy czem pozwolę sobie przypomnieć, że konfitury bardzo dobrze składają odrazu w nieduże, ładne słoiki, a galaretki należy zlewać w małe lampki. W taki sposób złożone mogą być podawane wraz ze słoikami na stół, co oszczędza fatygi przekładania do różnych kloszyków przy czem masa konfitur się marnuje.

Toż samo da się zastosować do rozmaitych grzybków, pikli i korni-

szonów, gdzie nie zostają one użyte do różnych sosów i garniturów, można je do stołu podawać wraz ze słoikiem. Unika się przez to marnowania tych przypraw przez przekładanie, a wygląda bardzo apetycznie. Oprócz tego należy przygotować duży zapas niedużych butelek do syropów, gdyż czy to konfitury, czy to syrop raz zaczęte tracą, jeżeli nie smak, to aromat, najlepiej więc je konserwować w niedużych naczyniach. Wszelkie zaś marmelady i powidła, które się składa jeszcze gorące do garnków, lepiej jest konserwować w dużych naczyniach.

Pani Elżbieta.

Przepisy gospodarskie



KONFITURY.

Truskawki „Wiktorja.” Pod tą zbiorową nazwą podaję sposób smażenia wszystkich dużych, czerwonych, kwaskowych truskawek które w ciągu ostatnich lat trzydziestu czy czterdziestu, zupełnie usunęły z użycia dawne, ananasowe, nieduże, szarawe — karminowe, słodkie, truskawki. Wszystkie te olbrzymie truskawki są właściwie uszlachetnioną poziomką. O ile chcemy te wspaniałe owoce zachować w całości, winiśmy z niemi bardzo ostrożnie postępować. Truskawki zebrane w suchy, pogodny dzień, popołudniu, kiedy rosa zupełnie obeschnie, obciąć nożyczkami z drobnych listków, znajdujących się u nasady owocu, szypułkę też obciąć, nie wrywając jej, gdyż owoc przez to traci kształt po usmażeniu.

Niektórzy pozostawiają samą szypułkę, — jest to rzecz gustu.

Każdą truskawkę umoczyć w araku lub chociażby w spirytusie, ułożyć na półmisku, osypać obficie cukrem, postawić w chłodnym miejscu na noc całą.

Z rana zrobić gęsty syrop, (pół szklanki wody na funt cukru,) biorąc półtora a nawet dwa kilo cukru na kilo truskawek, — na ten ulepek wrzucić truskawki, dać im raz zawrzeć, — odstawić, a to w tym celu aby duże owoce miały czas

nasiąknąć syropem. Po dziesięciu minutach postawić znów na ogień i smażyć na bardzo wolnym ogniu dziesięć minut od chwili zagotowania — poczem znów odstawić. Powtarzać to tyle razy, ile trzeba, aby truskawki stały się przezroczyste a syrop nabrał odpowiedniej gęstości. Gdy już konfitury gotowe, dodać na każde kilo jedną pastylkę benzoesu rozpuszczoną w gotowanej wodzie, odstawić nie gotując więcej. Truskawki „Wiktorja” są owocem wyraźnie kwaskowym, należy więc dla zastudzenia przelać konfitury w naczynie fajansowe lub porcelanowe, po dokładnem wystudzeniu układać konfitury w słoiki i zawiązać pergaminowym papierem. Na domowy użytek można smażyć truskawki biorąc kilo cukru na kilo owocu, oczywiście konfitury takie bardzo gęste, będą mniej okazałe, smak jednak będą miały bardzo dobry.

Poziomki. Na konfitury można używać poziomek leśnych i miesięcznych, ogrodowych, pierwsze są bardziej aromatyczne, drugie mają okazańszy owoc i nie tak wocho się rozgotowują. Świeżo zbierane, nieprzejrzałe i niepogniecionie poziomki zważyć, na kilo poziomek bierze się od półtora do dwóch kilo cukru, zależnie od tego, czy chcemy mieć więcej lub mniej syropu, co zawsze stanowi o okazałości konfitury. Ulepek zrobić bardzo gęsty, biorąc szklankę i ćwierć wody na kilo cukru, wrzucić dwie poziomki, wymieszać ostrożnie surowe poziomki z syropem, w czasie gotowania już mięszać nie należy, bo by się poziomki pogniotyły, po zagotowaniu miedniczkę odstawić od ognia, aby się jagódki dobrze syropem przejęły. Po dziesięciu minutach postawić na silny ogień, raz zagotować poczem już dosmażyć na wolnym ogniu, potrząsając miedniczkę, aby się równo smażyły i szumując starannie. Próbować, jak zwykle konfitury, gdy syrop gęstnieje i owoce są przezroczyste, dodać na każde kilo konfitur jedną pastylkę benzoesu rozpuszczoną w łyżce gotowanej wody, nie gotując już więcej. Poziomki, jako owoce nie kwaśniej można studzić w miedniczce, w której się gotowały. W kilka godzin, gdy już zupełnie ostygną, przełożyć je do niedużych słoików i pozawiazywać pergaminem.

Truskawki ananasowe. Staroświeckie truskawki ananasowe, dzisiaj mało gdzie hodowane, gdyż wyradzając się, dają dużo krzaków o pustym kwieciu, w ogrodach handlowych narażają więc na zawód, są nieduże i niepozorne, dają wyborną konfiturę,



nadzwyczaj aromatyczną. Ponieważ nie mają kwasu „Wiktorji”, ani goryczki właściwej poziomkom, można je smażyć, biorąc kilo cukru na kilo owoców. Będzie to konfitura trochę przygęsta do gospodarskiego użytku, chcąc mieć więcej syropu i pokażniejszą konfiturę, weźmiemy półtora kilo cukru na kilo owoców. Ogonków truskawkowych nie należy urywać, gdyż jagódki w smażeniu by się porozpadały. Ogonki te wraz z listkami obciąć nożyczkami przy samej nasadzie owocu. Dalej postępuje się jak z poziomkami. Truskawki ananasowe mają odmianę białą, znacznie od różowych większą, z której konfitura, usmażona tak starannie, jak się smaży „Wiktorję” jest śliczna, koloru lipcowego miodu.

Praktyczny sposób zamknięcia słoików. Widziałam niedawno u pewnej, bardzo gospodarnej Francuzki doskonały sposób zamknięcia słoików, dużo praktyczniejszy od zwykłego zawiązywania.

Kiedy konfitury, galareta, powidła czy marynaty są już ułożone w słoje i zupełnie zimne, kraje się krawki najgrubszego pergaminu dokładnie odpowiadające rozmiarom otworu słoja, a raczej nieco od niego większe, aby brzegi pergaminu, na jakie pół centymetra naokoło wystawały. Brzegi słoju smaruje się jakimś mocnym klejem, (ta pani używa kleju do fotografii, ale może to być „syndeticon” lub zwykła guma arabska, dosyć gęsto rozpuszczona,) na ten klej kładzie się pergamin i przyciska jakąś książką lub płaskim ciężarkiem, po godzinie słoje jest jaknajszczelniej zamknięte, — powietrze doń nie ma dostępu i kłopotu z takim opakowaniem dużo mniej niż ze zwykłym zawiązywaniem.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Przeciwko gąsienicom na warzywie trzeba namoczyć wióry z pod hebla w gorącej smole z węgla kamiennego i rozrzucić po grzędach z warzywem. Równie dobrze jest zagotować 6 kilogramów wody źródlanej lub rzecznej z dwoma kilogramami terpentyny. Po wystudzeniu, skrapia się około godziny 4-tej po południu, tym płynem objadłe gąsienicami warzywa i rośliny, a zginą natychmiast. Chcąc zastosować sposób ten do drzew, należy użyć sikawki. Płyn ten roślinom i drzewom nie szkodzi zupełnie, a jest niezawodny.

Korespondencje działu praktycznego

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

H. Bojak.

Zmarszczki usunąć można tylko za pomocą racjonalnego i odpowiedniego masażu i parowaniem twarzy.

Co do krostek — za mało szczegółów Pani podaje. Kremów reklamowanych nie polecam — są one najczęściej szkodliwe — natomiast najlepiej na razie mogę polecić dla wcierania na noc olejek wazelinowy oczyszczony z kroplą różaną.

Co do brwi i na tłuste włosy znajdzie Pani wyczerpującą odpowiedź w artykułach o włosach w ostatnich trzech numerach *Bluszczu*.

Pogoń — Lwów.

Brodawek na rękach i twarzy pozbyć się można jedynie za pomocą elektrolizy, którą może przeprowadzić tylko lekarz specjalista.

Wszelkie reklamowane środki, jeżeli nie zaszkodzą, to pomogą chwilowo.

Cerę porowatą poprawić można jedynie zapomocą parowania twarzy i umiejętnego masażu.

Mężatka z Podlasia.

Za mało szczegółów Pani podaje — czy zmiany na skroni są na tle łojotoku, czy też na tle zapalnym, wobec tego nie mogę odpowiedzieć.

Na wszelki wypadek można próbować smarować olejkami wazelinowym oczyszczonym i pudrować mączką ryżową, dopóki stan zapalny nie ustąpi — potem leczyć łojotok.

Wan. Zembrz.

Jedynie radykalne leczenie to jest elektroliza. Jeżeli Pani zdecydowała się na przyjazd do Warszawy, wskażę lekarza specjalistę.

Guska O. Żywiec.

Nie polecam środków reklamowanych, o składnikach których nie wiem. Na łupież polecić mogę mydło siarkowe lub maść: na 100 gr. wazeliny, 10 gr. siarki, smarować na dobę przed myciem głowy. Przytem odsyłam Panią do artykułu mego o pielęgnowaniu włosów w *Bluszczu*.

Tygodnik *Bluszcz* środków nie poleca. W tej rubryce o której Pani mówi, jest wyraźne zastrzeżenie Redakcji, że nie bierze na siebie odpowiedzialności za jakość środków ogłoszonych.

Wiktorja H. Kraków.

Na plamy brązowe trzeba zastosować bardzo silną, złuszczającą

maść i przekonać się, czy po tym zabiegu skóra będzie normalna. Jeżeli plamy rzeczywiście wrodzone, to rezultaty leczenia raczej wątpliwe. Maści żrącej nie można stosować bez porady lekarza, który musi zbadać skórę, by stosownie do jej jakości, zastosować tę lub inną maść, gdyż można wywołać zapalenie.

Kud. Równa.

Plamy na twarzy, tak długo po porodzie nie schodzące, zniszczyć można złuszczeniem skóry odpowiednią maścią, stosowaną tylko przez lekarza. Przyczem wprawdzie trzeba się poddać badaniu — może przyczyna tkwi w niedomaganiu organów wewnętrznych i kobiecych. Usunąwszy tę przyczynę, plamy mogą zniknąć bez stosowania złuszczenia.

Ponieważ są nie wrodzone, więc jest więcej szans, że znikną.

Ł. P. Witrydów.

Radzę przeczytać artykuł o pielęgnowaniu włosów w ogólnych zarysach, w ostatnich numerach *Bluszczu*. Znajdzie Pani tam wskazówki, jak stosować higienę włosów.

Jadwiga K.

Należy najpierw zastosować środki łagodne na owe plamy po jodynie. Okłady z wody borowej — 1 łyżka na szklanekę wody przegotowanej, niech pani robi przez 5 dni, a następnie przez dni 10 smarować oliwą i zapudrowywać mączką ryżową.

Gdyby nie pomogło, złuszczyć skórę silnie złuszczającą maścią, co skutecznie może tylko lekarz.

M. T.

Na piegi radykalnego środka nie ma, gdyż jest to zabarwienie skóry, które tylko można czasowo usunąć za pomocą złuszczenia skóry, zabieg który może tylko lekarz skutecznie. Od czasu do czasu należy powtarzać ten zabieg.

Pupilka.

Na zeszczuplenie stosować należy masaż. Jeżeli na miejscu nie ma masażystki, może się Pani potrzebego masażu nauczyć, przybytności w Warszawie. Wystarczy parę lekcji. Gumowe pasy na zeszczuplenie uważam za b. szkodliwe. Nagniotki usunąć można mocząc nogi codziennie w gorącej wodzie z sodą i przykładając świeże diachilum. Gorącym nożem zeskrobuje się trochę diachilum, nakłada na nagniotek, czy zgrubiałą skórę na podszwie. Zmieniać co drugi lub trzeci dzień, po poprzednim wzmoczeniu nóg. Gdy jedna warstwa zejdzie, powtarzać ten zabieg, aż do skutku.

M. S.

Poradzić na odziębienie twarzy nie można zaocznie, bo trzeba skonsultować, w jakim stopniu jest odziębienie, czy dawno nastąpiło, jaki stan skóry itp.

Cecylja P. Lwów.

Plamy wątrobiane można zniszczyć za pomocą złuszczenia skóry.

Co do odstających uszek u córki Pani, proszę stosować bandażowanie na noc, zwyczajnym rozciągającym się bandażem, lub nakładać specjalne, gumowe opaski.

A. Węg. w N. H.

List Pani, dla mnie nie jest jasny, bo jeżeli Pani cierpi na soborrheę, to nie może być swędzenia. Prawdopodobnie swędzenie wywołane zostało jakimś środkiem leczniczym.

Narazie trzeba stosować środki łagodne na usunięcie podrażnienia skóry, a następnie zastosować ostre na leczenie soborrhei.

Jeśli chodzi o złagodzenie swędzenia, parę dni nie myć wodą twarzy, codziennie smarować lekarską oliwą i zapudrowywać mączką ryżową, a gdy swędzenie ustąpi dopiero leczyć soborrheę.

Maryla B. 117.

Najlepiej jest, gdy lekarz ma możliwość zbadać stan skóry i zalecić indywidualne leczenie.

Zasadniczo, niech Pani wyciera twarz na noc spirytusem salicylowym i stosuje parowanie twarzy, do 2 razy tygodniowo.

Czytelniczce z Polesia.

Na schudnięcie zastosować trzeba przede wszystkim stosowne odżywianie — mało płynów, potraw mącznych i słodczy, natomiast ja rzyny, mleko, owoce, odżywiać się dostatnio i odpowiednio nigdy nie głodzić się.

Pozatem masaż odtłuszczający, a przy tem dużo ruchu, gimnastyki i sportów.

Sobcz. Pleszew.

Radzę Pani bezwarunkowo zwrócić się do okulisty, dla systematycznego leczenia powiek. Gdyby stan powiek był taki, że leczenie nie poskutkowało na odrośnięcie rzęs

— pozostawałoby tylko naszczenie. Stosowane to jest w Paryżu — u nas tych metod się nie praktykuje.

dr. med. J. Świtalska.

* * *

Redakcja „Bluszczu“ odpowiada stałym Czytelniczkom na wszelkie pytania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu, Redakcja odpowiadać nie będzie.

Odpowiedzi są załatwiane kolejno a wobec wielkiego napływu listów nie zawsze mogą być umieszczone w najbliższym numerze „Bluszczu“.

TABELKA przeciętych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50
suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dzieciinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Opis sukien i robót do Nr. 26.

436. Palto redingote z rypsu czarnego, zapięte na dwa rzędy guzików.

437. Sukienka z koralowej popeliny dla dziewczynki od lat 7 do 10.

438. Suknia z surowego jedwabiu dla młodej panienki. Kamizelka z białej organ-dyny — pasek skórkowy.

439. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 10, przybrana galonikiem, haftowanym w grochy.

440. Suknia z woalu granatowego — kamizelka i kołnierzyk z białego rypsu.

441. Palto z sukienki piaskowego, przybrane wełną w kratę.

442. Suknia z crêpe marocain, przybrana plisą ze świecącej materji.

443. Palto z otomanu czarnego, przybrane plisami ze świecącej jedwabiu.

444. Suknia z kreponu lila, przybrana haftem kolorowym. Szal i szarfa ciemnofioletowe.

445. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 8 z kreponu w dwóch kolorach.

446. Kostjum z gabardyny koloru kreciego. Żakiet zapięty na duże ozdobne guziki

447. Bluzka z surowego jedwabiu, przybrana żabotem z batystu.

448. Bluzka z crêpe de chine'u w dwóch kolorach, przybrana haftem.

449. Bluzka z deseniowego woalu, wykończona gładką plisą.

450. 451. 453. 454. Modne fasony spódnicy.

452. Bluzka z surowego jedwabiu gładkiego i w pasy.

455. Narożnik do poszewki, haft richelieu.

456. Narożnik do kapki na dziecienny wózek — haft richelieu.

457. Wzór na kilim.

UWAGA: Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „Bluszczu“ po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skuteczniać na blankietach czekowych P. K. O

